

Wies

Bibliotek Publiczna
Lódź ul. Andrzeja 14

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Lódź, 6-13 kwietnia 1947 r.

Nr 14-15 (93-94)

Władysław Blachut

Przed pół wiekiem

Gdy dziś przerzucą się poźółkie od starości karty czasopism ludowych z drugiej połowy XIX w., z okresu, kiedy większość chłopów tkwiła w analfabetyzmie i społecznym oraz gospodarczym zacofaniu, uderza w nich każdego świadomość sytuacji, odwaga i jasność sformułowań poglądów na sprawy chłopskie, a przede wszystkim wyraźnie podkreślona walka o lepsze jutro wsi i — co ważniejsze — walka o Polskę ludową.

Z okazji 50-lecia ruchu ludowego wziętem m. in. w ręce wielkanocny numer (7) „Wieńca Polskiego” z kwietnia 1897, rok wydawnictwa XXIII (I), organu Stronnictwa Chrześc.-Ludowego ks. Stojałowskiego i oto w artykule wstępnym pt. „Alleluja” czytamy co następuje:

„Kochani i drodzy Bracia! Dzięki pomocy Boga, bez którego woli nawet włos człowiekowi z głowy nie spadnie, dzięki pracy i dobrej woli ludu, który zrozumiał swój własny interes, sprawa polska ludowa odniosła wielki tryumf, pierwsze walne zwycięstwo przy wyborach do Rady Państwa...”

„Praca też była nielada, ciężka i wielka, ale Bóg dopomógł i pomimo tysięcy wrogich ludowi żywiołów, pomimo stronnicych starostów, marszałków i komisarzy, pomimo mnóstwa niechętnych ludowi księży, pomimo żandarmów i szpicłów... zwyciężył lud i wola jego...”

„Nie chcąc gwałcić woli waszej, nie wstąpiłszy do stańczykowskiego Koła polskiego, ale właśnie w parlamencie zawiazaliśmy Koło, prawdziwie polskie, chrześcijańskie, ludowe. Nie mogliśmy iść razem z tymi, co przy ostatnich wyborach ręce swoje krwią ludu zbroczyli; nie mogliśmy łączyć się z tymi, którzy jedynie swój interes mając na oku, zaprzeczali sprawę ludu, którzy nie pomni na straszną nędzę ludu, jako lokaje każdego rządu, rządowi tylko służyli i służą, nie mając nigdy odwagi temuż rządowi powieść, że źle się dzieje w Galicji i na Śląsku, że lud niezadowolony, że nędza tak strasznie czasem dokrwiera, iż kawałka poprzedniego chleba nie ma w chałupie, że niezmiernie i niesprawiedliwie rozłożone podatki każą płacić ludowi, a nikt nie zapyta, skąd wziąć, że pracy ludzom brak, że 2.000 gmin w Galicji nie ma dotąd szkoły... że lud prześladowany przez duchownych i świeckich urzędników i nastawników, którzy z pracy tego ludu żyją — już ledwie dyszy...”

A oto co na podobny temat drukuje w tymże 1897 r. bratnia „Pszczółka” w nrze wielkanocnym (8) w liście otwartym posła dra Michała Danieluka:

„Do moich wyborców!
Powróciwszy z Wiednia do kraju, dowiedziałem się od ludzi zupełnie na wiare zasługujących, że niektóre władze nasze prześladować zaczęły wyborców, a w szczególności swoich podwładnych i spisywać z nimi protokoły, podejrzewając ich, że nie głosowali na kandydatów miłych rządowi, lecz, że oddawali swe głosy kandydatom, do których mieli zaufanie, których im rozum i serce wskazywały. Niektórym nawet karami grozić zaczęli c. k. urzędnicy, rzekomo za to, że agitowali za kandydatami ludowymi. Jest to nadużycie i gwałt nie do darowania. Dopóki ja waszym będę posłem, takie występkę i łotrństwo z całą stanowczością będę piętnował, w należytych świetle przedstawiać i to w odpowiednim miejscu, to jest w Wiedniu, przed oczyma centralnego rządu i przed całym parlamentem. Urzędnik jest na to, aby tropił łotrów i złodziei, a nie by utrudniał i tak już nędzne życie biednego ludu...”

Jakże wyraziście na kanwie tych głosów rysuje się ówczesne życie chłopskie w Galicji. Oto wieś, ta wieś gnębiona przez „starostów, marszałków i komisarzy... którzy jedynie swój interes mając na oku, zaprzeczali sprawę ludu”, sama podejmuje walkę o prawa i sprawiedliwość dla ludu, o szkołę dla wsi, o pracę dla chłopca. Ta wieś już nie daje się zastraszyć rządowymi metodami walki, które

jakże przypominają stosunki z okresu sanacyjnego, lecz głośno woła, że „urzędnik jest nie na to, aby ludziom dokuczał, aby ich prześladował, ale na to, aby tropił łotrów i złodziei, a nie by utrudniał i tak już nędzne życie biednego ludu w Galicji”.

O tym, że w swej walce o lepsze jutro chłop natrafiał na poważne opory w swoim najbliższym, chłopskim otoczeniu, świadczy najlepiej „Echo z Galicji o wójtach”, zamieszczone w cytowanym wyżej nrze (7) „Wieńca Polskiego” z 1897 r. Oto co pisze na ten temat anonimowy autor:

„Większa część wójtów i zwierzchności gminnej jest niemiłna z braku oświaty i świadomości praw swoich. Skargi te dają się podzielić na kilka rodzajów. W niektórych wsiach wójtowie... są bardzo skłonni do zbytniego przyjaźnienia się z „panami”, bo też i siebie samych mają za coś lepszego i wyższego nad „gminne pospólstwo”...

W innych miejscowościach zwierzchności gminne składają się z samych t.zw. „bogaczy” — a często z członków poblisko z sobą spokrewnionych, tak że w gminie rządzi „familia”...

Trzeci rodzaj zwierzchności gminnych i wójtów to ludzie tacy, co pisać, a czasem ani czytać nie umieją, a przy których

trzęsie i rządzi całą gminą pisarz... czasem trudniący się głównie wyzyskiem ludzkiej clemnoty. Oprócz tego o wszystkich wójtach w Galicji to powiedzieć można, że nie bronią dostatecznie swojej godności i niezawisłości wobec starostów i marszałków, ale poczują się sobie za podległych im urzędników. Ślad pochodzi to, iż gdy przychodzą sprawy ważniejsze, jak np. wybory poselskie, to niemal wszyscy wójtowie nie bronią ludu, lecz owszem występują się starostom i stańczykom...”

Prasa ludowa stosunki te poddaje na swoich łamach ostrej i bezwzględnej krytyce a działacze chłopscy z całą świadomością, konsekwentnie i z chłopskim uporem dążą do zmiany tych stosunków. Dlatego stają się przedmiotem zacieklej ataków stańczyków, nie przebiegających w środkach i metodach walki. Takiego np. ks. Stojałowskiego pomawia się o wszelkie przestępstwa, nie szczędząc mu zarzutów, że jest moskalofilem. Skąd ten ostatni zarzut?

Oto ścigany przez los i zawiść ludzką księżyna był już wówczas szermierzem zbliżenia wszystkich Słowian w obronie przed zalewem germanizmu i w swoich odważnych pismkach dawał temu wyraz.

I tak w cytowanym już wyżej nrze wielkanocnej „Pszczółki” pisze na ten niezwykły wówczas temat:

„Jeżeli my Polacy, dążymy do wolności i wyzwolenia ludu... to jakżeby to być mogło, abyśmy nie mieli tego samego dobra życzyć Braciom naszym Rusinom?... Jeżeli sprawę ruska uważać będziemy ze stanowiska narodowego to tem bardziej musimy pragnąć, aby lud ruski przestał być niewolnikiem „polskiego szlachcica”, a zafal to miejsce, jakie się mu należy wedle praw przyrodzonych, od Boga dany, a także wedle praw historycznych... Nasze tedy stronnictwo chrześcijańsko-ludowe stojąc na fundamencie sprawiedliwości, od dawna uznawało prawa narodowe Braci Rusinów i starało się o zachowanie braterskiej zgody w polityce... i obronę praw narodowych ludu ruskiego z obroną praw polskiego ludu za cel swoich prac i dążności sta...”

„Ale — rzecz charakterystyczna — nie tylko o swoje prawa zabiegał ówczesny uświadomiony działacz chłopski. Podniósł on również głos protestu w sprawach robotniczych, o czym świadczy najlepiej zamieszczony w omawianym nrze „Pszczółki” artykuł pt. „Ile zarabia na górniku kapitalista?”

„Wedle kartki płatniczej jednego górnika z kopalni czeskiej dostawał tenże miesięc płacę w ilości 45 zł 89 ct, a to za następujące roboty: za 100 wozów węgla dobrego po 14 centnarów, od wozu po 27 ct, razem 27 złr, za 92 wozów po 14 ctr, gorszego węgla po 17 ct, czyli 15 złr 64 ct., za 4 metry kubiczne podpór bocznych od metra po 75 ct, czyli 3 złr 25 ct, razem tedy, jak wyżej 45 złr, 89 ct. Tyle robotnik... A co bierze zarząd kopalni za ten węgiel? Wóz lepszego węgla płaci się 4 złr, a więc zarząd to czyni 400 złr — jeden wóz lepszego węgla płaci się w kopalni 1 złr 50 ct to wynosi za 92 wozy 153 złr 89 ct. Odciągnawszy płacę robotnika 45 złr 89 ct, zostanie 500 złr 11 ct. Odrzuciwszy jeszcze koszt zarządu itp., które przeciętnie obliczono na osobę miesięcznie 25 złr 37 ct, pozostaje dla kapitalisty zysk na jednym górniku miesięcznie 481 złr 74 ct.”

Cyfrę, jak z tego widzimy, już wówczas miały swoją wymowę a walka o sprawiedliwy rozdział dochodu społecznego rozpoczęła się.

Mija kilka lat. Walka chłopów o lepsze jutro nie ustaje. Wprost przeciwnie: pojawiają się nowe problemy a przede wszystkim na łamach ludowej prasy polskiej wyraźnie krystalizują się dążenia wyzwolenie Narodu, podnoszą się głosy o Polskę, wolną i niepodległą.

I tak na łamach wielkanocnego nr (14) „Przyjaciela Ludu” z 1904 r., organu „Polskiego Stronnictwa Ludowego” w artykule wstępnym czytamy:

„Dożyliśmy dnia, w którym lud, idąc za słowami duchowego swego Wodza pragnie „począć swoją siłę”, by tym śmiałością dobijać się zwycięstwa. „Muszą się zbliżyć widać już ten czas, kiedy z pod grobowego kamienia w on trzeci dzień powstanie z martwych Ojczyzna nasza umęczona, a z nią Prawda i Sprawiedliwość...”

„Z każdym rokiem, w każdym tem świętem wosemym zbliża się do nas ta, Wiosna ludów, zwycięstwo idei Prawdy i Sprawiedliwości...”

Czyż nie uderza w tym artykule pełnia świadomości politycznej polskiego chłopca, jego — w okresie stańczykowskich adreśów do Tronu — śmiałe wołanie o Polskę ludową, która „obludne i przewrotne syny swoje odrzuci od siebie, precz, a chwałę wiekuią zgouje maluczki i zapomnianym...”

Oczekuje tego dnia świadomy aktyw chłopski i na wszystkich odcinkach wiejskiego życia czyni na to święto przygotowania.



Ministerstwo Kultury i Sztuki

przyznało subwencje w wysokości 5.000. zł miesięcznie następującym pisarzom chłopskim:

- Piotrowi Wyrobkowi
- Piotrowi Stopczykowi
- Maciejowi Czule
- Józefowi Kapuścińskiemu
- Stefanowi Gębali

Dla wymienionych pisarzy regularne wykształcenie skończyło się na kilku klasach szkoły ludowej. Resztę osiągnęli jako somowcy i działacze.

Młodość 70-letniego dziś P. Wyrobka przypada na okres sławnej „nędzy galicyjskiej” i początków Ruchu Ludowego. Młodość 70-letniego dziś Piotra Stopczyka przypada na przełomowy okres rozwoju przemysłu w „Kongresówce”, kiedy Gajeroskie maszyny wypierają z Łodzi tkaczy — rękodzielników, kiedy „Zaranie” w Ruch Ludowy wciąga młode pokolenie.

Młodość Macieja Czule — to drugi okres galicyjskiego Ruchu Ludowego (walki Witośa ze Stapińskim). Młodość Józefa Kapuścińskiego to lata wojny światowej. Młodość Gębali — to lata wyzwalania się mło-

dzieży wiejskiej od patronactwa sanacyjno-ziemiańskiego.

Wszyscy ci pisarze bądź na skutek wieku, bądź choroby znajdują się w ciężkim położeniu materialnym.

Redakcja tyg. „Wies” występując do Ministerstwa Kultury i Sztuki z wnioskiem o subwencje dla wymienionych pisarzy pragnęła również przez udzielenie im pomocy materialnej uczcić tę drogę pisarstwa chłopskiego, na które do niedawna skazana była cała prawie wieś, a dziś jeszcze tam wszędzie, gdzie nędza, brak instytucji społecznych, zapóźnienie gospodarcze i kulturalne nie pozwalają utalentowanym wydobyc się poza granice tworzenia — jak się to mówi — „samorodnego”, „nieuczzonego”, „ludowego”.

Oto w tymże n-rze organu Stapińskiego Wł. Wąsowicz w artykule pt. „Młody do młodych” pisze:

„...My się uświadamiamy politycznie, zapelniamy te braki w wiedzy praktycznej, której nam szkoła nie dała, uczymy się o prawach, które nam przysługują obywatelom, przysługują medługo będą, aby nam kiedyś, jak teraz niejednemu z ojców naszych, nie był półbogiem lada jaki pacholek z urzędu... A jeśli w tej robocie co do niedalekiego nas życia obywatelskiego przygotowywać będzie spotkamy się nawet we wsi własnej z uprzedzeniami i przedrwiwaniem nie dajmy się niczem zrazić... Z głupich sobie nic nie robimy. I jedni i drudzy przejrzą, jeśli ich oczy kiedyś ujrzą pełne życie w gminie, które sobie młodzi już za młodu przysposobili...”

Co za siła wiary w tej odezwie! Jakie wyczuwanie konieczności uświadamiania politycznego młodej wsi, tych przyszłych obywateli niedługo powstać mającej Ojczyzny! Wiś ta już zaczyna myśleć kategoriami ekonomicznymi. Oto w tym samym n-rze „Przyjaciela Ludu”, do dziś żyjący i pisujący Jan Sobek z Handłówek pisze na temat „Potrzeba Towarzystwa” co następuje:

„U nas w Państwie Konstytucyjnym wolno się zgromadzać i stowarzyszenia zakładać a tak obojętni na to jesteśmy, gdy w Królestwie Polskiem brak braciom tej wolności, a oni mają to na polu ekonomicznym przewyższają nas... Jeżeli więc w polityce umiemy się bronić (przed panami, dop. mój) broimy się i w ekonomii. Kiedy wyższe stany ręce opuszczają, to na nas chłopów kolej brać się do dzieła...”

Te słowa nie wymagają komentarzy, świadczą jedynie, że chłop polski sam, wbrew woli „panów” dźwigał się wyżej...

Ale krótki przegląd wielkanocnej prasy ludowej sprzed lat 50 byłby niekompletny, gdybyśmy nie zapoznali się pokrótce z poglądami największego pisarza - publicysty polityka z tych czasów tj. Jakuba Bojki z Gręboszowa.

W dodatku (jakby literackim) do nru 14 „Przyjaciela Ludu” z dnia 4 kwietnia 1904 roku pisze ten wnikliwy, pełen temperamentu autor w artykule pt. „Dwie dusze” co następuje:

„Wszak, że nie tylko przed stu laty księsko panowie rządili krajem, skorośmy teraz

w niewoli, ale potomkowie tychże dziś sami swolm majątkiem licho gospodarza i wielu z nich żyje bez jutra, wiedząc, że chcą jedynie sami kierować nawa polityczna państwa, kraju i powiatów, coż dziwnego, że ludowcy muszą ich smagać czasami i brać krzesła pańskie i inne, które im się z prawa należa... A gdybyśmy widzieli, że stan duchowny ma te cywilne odwagi powiedzieć im w oczy słowa prawdy! He! he! tobyśmy błagali tych że, aby nam i w polityce byli przewodnikami! Ale widzimy u nich zachowanie się strasie i pańszczyźniane wobec nich... widzimy, że skakają koło panów na paluszkach i podkładała im... Panowie uśmiechają się leno za węgielkiem i mówią nam: „A dyć to przecież nie szlachta, ale to chłopscy synowie wam to robia... Straszny to dla chłopskiego serca policzek...”

Ten chłopski Skarga porusza tu, jak widzimy, stare a kapitalne zagadnienia: odpowiedzialność szlachty za upadek Polski, uległość księży, nawet tych co spod chłopskiej wyszły strzechy, wobec dworu i chłop skie prawa do kierowania nawą polityczną Państwa. Czyni to w sposób spokojny, literacki, choć równocześnie w prozie jego przebiega na każdym kroku nuta gry

zącej ironii. On pierwszy wreszcie zwraca uwagę na powszechną prawie zdradę chłopskich interesów przez zapominających o swym chłopskim pochodzeniu księży...

Kończąc ten krótki przegląd pracy chłopskiej sprzed lat 50 jeszcze raz pragnę podkreślić zdecydowane i wyraźne stawianie sprawy polskiej w tej chłopskiej publicystyce w przeciwieństwie do lojalizmu szlacheckiego wobec zaborców. Gdy chłop polski domagał się praw dla siebie i wierzył, że tylko wolna Polska uczyni go prawdziwym obywatelem „...w Warszawie magnaci polscy aby przypodobać się moskałom i dostać order od cara, poczęli zbierać ofiary na wojnę rosyjską (z Japonią, mój dopisek): Za to im lud warszawski powybił zażyby w pałacach...” („Przyjaciel Ludu”, Nr 14 z 1904 r. Wiadomości polityczne).

Władysław Blichut

ECHA... ECHA...

„WŁOŚCIANIN”

Tego właśnie dnia, to jest w Wielką Sobotę było pięknie na świecie; wietrzyk małeńki powiewał po polu i wioskach maziwieckiej krainy — bo trzeba nam wiedzieć, że całe to zdarzenie odbywało się na Mazowszu, wielkiej prowincji polskiej, leżącej ponad rzekami — Wisłą i Narwią, co do Wisły wpada. Ziemia tam jest piaszczysta i niebardzo urodzajna, ale jednak dobrze uprawiana przez dzielnych Mazurów. A że Mazury są dzielnym ludem najlepszym na to dowodem jest przysłowie: „bitny jak ślepy Mazur”, które poszło stąd, że jak się zjawił który Mazur w bitwie, to szedł w ogień jak ślepy, nie zważając na kule i pociski nieprzyjaciół. Największym miastem na Mazowszu jest Warszawa, a każdy Mazur tak kocha swoją stolicę i ziemię, że się bez niej obejść nie może, ale tęskni do niej jak ryba do wody. Szczęśliwi też są owi Mazurzy, że tak kochają swoją ziemię — że gotowi robić wszystko, byle tylko na chwałę swojej ziemi.

Zagrzmiały organy w kościółku modrze-wiowym Bogdanowa, tysiące świateł zapalonych w świątyni dodawało uroku i chwały dla Zmartwychwstałego Chrystusa Pana, podczas kiedy proboszcz parafii zaśpiewał uroczysto w stopni ołtarza: Alleluja, Alleluja, Alleluja! Tysiące piersi powtórzyło jego słowa i z tysiąca piersi zachęcał i wernego ludu popłynęła pieśń do tronu Boga. Gdzie było okiem rzucić, wszędzie było widać twarze wesole i szczęśliwe, zdawało się człowiekowi, że widzi przed sobą niebo śpiewające na chwałę Boga. Niedługo ożwała się pieśń inna:

„Przez Twoje święte zmartwychwstanie Boży Synu odpusć nam nasze zgrzeszenie itd.”

którą znowu tysiące piersi śpiewało. Trzeba przyznać, że nigdzie nie usłyszycie takich pięknych pieśni i że nigdzie nie obchodzą uroczystości świąt wielkanocnych, jak w naszej kochanej Polsce. To też, gdy człowiek ujrzy się gdzieś na obcej ziemi, a nie usłyszy tych cudownych pieśni, to aż mu się serce kraje z żalu. I jak tu nie kochać takiej ziemi, która sama nawet ciągnie do siebie i radaby człowiekowi nieba przychylić?

„Włościanin” LIV. 1872

„Kładź na stół święcenie”

Wielki post się kończy — w Wielki Piątek zamiast dzwónów zaczyna około kościoła dzieci kołatać, klekotać, tyrczeń drewniane klakotki, jarestki i tarapoty. Gdzieś tam zaczyna krasić różnorodno pisłki czyli pisanki (jajka). Dużo byłoby o tym samym mówić.

Wreszcie przy Rezurekcji zabrzmiało wesole Alleluja!

Mój Boże! Wychudzony, wymorzony postem, wynędzniały wieśniak — fizycznie więcej utrapiony, niż duchowo, upokorzony człowiek inteligentny czeka na to Alleluja rzeczywistość tak, jak ongi Zyd na mannę w puszczy. To Alleluja, które katolicki kapłan wyrzeknie przy ołtarzu, jest dla niego ważną chwilą nie dlatego, że skosztować potem może wyjątkowych przysmaków, jakie go czekają w domu — jaj, kiełbasy i sera, lecz, że czuje się być nagle wolnym, po chrześcijańsku wolnym. On czuje tę wolność dobrze, chociaż jej określić nie jest w stanie. Moim zdaniem, to spokój ukojonego z pospolitych wzruszeń sumienia. Z poczucia tej duchowej wolności, z tego pogodnego, słodkiego ukojenia wypłynęła zapewne wiara ludu w powiecie tarnobrzeskim (Grybów, Stale, Jastkowice), że w W. Niedziele „gdy się przypatrzeć na wschód słońca, to można zob-

czyć, jak słońce trzy razy wschodzi i zachodzi, a co raz, gdy się pokaże, to tańcuje w koło, i tak za każdym razem, aż gdy trzeci raz zejdzie, to już idzie w nieprzebraną swoją drogę”.

Cały ten dzień uroczystość, poważnie się obchodzi, a niekiedy wieczorem zagra muzyka, lecz rzadko. W. Niedziela to wielkie święto — trza „je kenećnie w domu przepędzić — grzech jest nawet wzajemnie się odwieczać”.

Przyszłszy w Wielką Niedziele z kościoła do domu, spożywają święcone, można sobie wyobrazić, z jakim smakiem je spożywają. Pisze Walski, jak chłop woła wtedy na żonę:

„Tera predko, matko, kładź na stół święcenie! Ty go nam przezegnaj, Zmartwychwstały Panie!

Juz Jezus przezegnaj, chłtóry zmartwychwstaje, matka po połowce dzieciom jajka daje. Jak już jajko zjedli, co jinnego trzeba: masła, śtuki, sera, kiełbasy i chleba, na ostatku baszczu, krzan w niem nadrobiony, bo Jezus na krzyżu żółcom był pojony; krzan i żółć jeden smak równy sobie mają, to na te pamiotke jeść go nam kazają”.

W Wielki Poniedziałek odzywa się znowu w pustej igraszce dawne karnawałowe usposobienie chłopca. Tak zwany dzień św. Leja (w Nadbrzeżu dyngus) pozwala młodzieży na wesole psoty i wybruki — dziewczki i młode kobiety leją chłopców wodą sikawkami, garnkami, nawet konewkami, a jak ciepło na polu, to i zanurzają je w rzece razem z głową. I w tym jest racja, co dowcipnie podnosi Walski w wierszyku:

„Bo nieraz w zapusty z niemi tańcowali, wtenczas zakurzylil, w Lejek optukali”.

Z biegiem czasu jednak ów Lejek w coraz łagodniejszej, delikatniejszej objawia się formie.

Jest przesąd, że której kobiety lub dziewczyny w W. Poniedziałek nie obleją, to ta nie będzie miała przez lato szczęścia do mleka — będzie miała jej krowa mało mleka i to rzadkie, niedobre, co się jej psuć będzie. (Jastkowice, Pysznic). Wielka Noc to prawdziwie kojące, uszlachetniające serce chłopca święto. Jak on w obliczu tego święta czuje dobrze odradzającą się przyrodę i siebie samego! Walski obdarzony duchem poetyckim, odczuwa to pewnie lepiej, serdeczniej, głębiej, niż ogół włościan tutejszych, a jako

taki wskazuje na budzącą się u ludu samowiedzę i patriotyzm. Jeden wiersz Walskiego przytaczam tylko dla charakterystyki uczuć i zapatrywań przedświątecznego wieśniaka ze Stalów, czy Grybowa, oraz dla kilku zawartych w nim przesądów — drugi wiersz to prawdziwe cacko, które wyszło spod pióra chłopca, które balsamem powinno być dla każdego kochającego kraj Polaka.

Oto jeden:

Wielka Noc nadchodzi, każdy się raduje bo ona dla ludzi już wiosnę zwiastuje...

Oto drugi utwór Walskiego:

Dziś dzień Wielkanocy, Chrystus zmartwychwstał, nam, bracia Polaki, przykład z siebie daje.

„ZARANIE”

Z palmą wielkanocną — godłem odrodzenia w szlachetności dusz, w dzielności umysłów, w sile i mocy potrzebnej narodowi naszemu idziemy dziś do Was, Bracia Czytelnicy i Przyjaciele nasi. Ta polska nasza palma, pierwszy zwiastun wiosny, nabrzmiała sokami nowego życia, niech nam wskazuje, że nowymi życiodajnymi zasadami i my bracia — ludzie — mamy spotężnić! Mocy ducha, obudzenia się go i odrodzenia dla szczęścia nas wszystkich! Życzmy Wam dziś — Alleluja!

„Zaranie” 4.IV — 1912

Niech będzie nasze alleluja!

W ciągu kilku lat przedwojennych budziła się w ludzie polskim bylej Kongresówki jakaś dziwna żywa siła pragnąca właśnie nowego życia i rwąca się właśnie do tworzenia tego nowego lepszego jutra czynami własnymi, dzielnością, mądrością i pracą w „nowym dziele”. Wstrząs duchowy po ziemi naszej przebiegił wtedy.

W „Zaraniu” wyrażał i objawiał wówczas lud Polski swoje w tym względzie odrodzenie i jak gdyby zmartwychwstanie z wielowiekowego snu, zniekania i przygnębienia. Na dzień zmartwychwstania w r. 1913 polski wieśniaczy duch odrodzenia swojego właśnie podaje Alleluja!

Wesoły nam dzień nastaje Prawda jasne światło daje, Alleluja Nędzarz dozna lepszej doli

Jan Marszałek

Chłopski syn

To nie, że ojcowej roli nie orzę,

że nie chodzę jak ojciec za plugiem.

Jak emigrant w białych wspomnień smugach

obraz wioski zielonej wiozę.

I rozdaje go moim przyjaciółom z bruku.

Tym, co chcą i tym, co nie chcą.

W brzęku ulic napełniających hukiem

wsi oddaje słowa i serce.

I wiem: z słów tych, jak z pąków kiedyś

trysnę kwiatów biel i liści zieleń —

kiedy z chłopskiej twarzy smutek biednych

zetrze biała dłoń przyjaciela.

Wyżuje się z pięć niewoli Wyzyskać się nie pozwoli, Alleluja! Ustanie nad nami złych duchów krakanie. Przyjdzie nam zbożne dusz zmartwychwstanie, Gdy czynami i wolą twardą dzieje nowego życia Sami sobie wykują poczyniemy. Tak przed wojną pisali, tak mówili i tak pieśnią wyrażali chłopci polscy swoją myśl odrodzenia i wyzwolenia.

„Wyzwolenie” 17.IV 27.

Maksymilian Malinowski

„WICI”

Dzieci słońca i ziemi

Radujmy się! Bo oto pierzcha zima wraz z serdecznym swym przyjacielem — mrozem. Ziemia — Matula na głaz zakuta i usnieżona białym całunem pokryta już odtajała i już życiem tętnić poczęła. Noc długa i nikiej ta szata żałobna czarna pierzcha hen na krańce świata. Zaprzepaścił się już i wicher moczarny co to ciecigem ponad zamarłą ziemią ponuro wyl, uspięne bory z korzeniami rwał, biela śmiertelnego całunu powlewał i pogrzebowe hymny śpiewał i zwycięstwo śmierci nad życiem — zaprzepaścił się kajś!

Radujmy się! Bo oto ziemia już życiem dyszy i przeży się i ku górze się dźwiga — nikiej ten zacznij ciasta chlebnego rośnie i plonowanie zwiastuje. Kwicnięć kaczyfców się uśmiecha, klekołem bocianiem cościć pogaduje. Spiewem wyspiewuje, przestworzom podniebnym rozgłasza, I pragnieniem nowego życia dyszy. Pragnieniem wyzwolenia z łona swojego nabrzmiałych mocy tworzenia, wzrastania i plonowania,

Radujmy się! Bo oto w pole trza iść! Ziemia — Matula nas zwie. A słońce nikiej ten Ojciec najlepszy jasnością swych promieni — nas błogosławi. Gorącością swoją żar życia w nas rozplonienia. Ognie chcenia i pragnienia i tworzenia w głębi dusz naszych roznieca.

W pole iść i nowe życie tworzyć trza! Radujmy się, dzieci słońca i Ziemi — córy i syny młodej wsi! W radości onej wiośnianej, niechaj piersi nasze mocarne i twórcza tęsknota rozsada. Niechaj cechami przepięknych pieśni wybuch — wszystkie struny duszy potrąca i zwycięski hymn śpiewa i wydzwania, w przestworza podniebne niesie i zwycięstwo głosi. Hymn Ziemi i Słońca, pracy i plonowania, prawdy i sprawiedliwości. Radujmy się, bo oto w pole iść i nowe życie tworzyć trza!

„Wici” 31.III.1929. Józef Niecko

„WYZWOLENIE”

Na Zmartwychwstanie

...A oto i lud polski był również zamordowany, wdeptany w ziemię, zabity moralnie, sprowadzony do roli domowego bydła. A przecież widzimy, że z tego grobu dźwiga się i powstaje mimo wrzasku faryzeusów pomimo zrad obłudników, pomimo, że przy jego mogile straż, a i stoi jeszcze uzbrojona w siłę pieniądza a i w powagę kapłaństwa i bronii wyjścia z mogiły nakrytej kamiennym głazem gwałtu, przemocy, fałszu faryzejskiego i obłudy.

I dlatego... trzeba nam wierzyć, ufać i pracować i walczyć z ciemnościami grobu, do którego chcą nas zamknąć i postawić przy nim straż, „żelazem okryta”, a wszelkiego człowieka, który nas budzi ze śmiertelnej śpiączki zwalczają jako burzycieli wiary i bezwładu, z którym im jest dobrze.

Powstała z grobu Polska, musi też powstać z rozbitcia swej siły lud Polski. Tego wam życzy w Święto Zmartwychwstania stary przyjaciel.

1927 r. Tomasz Nocznicki

Zebrał Henryk Syska

Andrzej Strumillo

Notatki z Opoczyńskiego



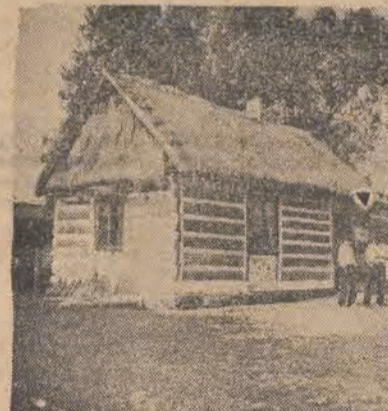
1. Chata kowala (Brzustowiec)



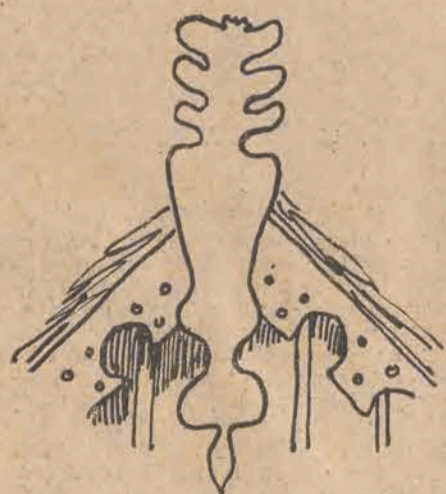
2. Przybudówka przy starej chacie



3. Dom we wsi Zakoszele



4. Dom we wsi Zakoszele



5. Ozdoby przy szczytach



6. Młoda męczątka w stroju „błogosławieństwa” (Radzice Duże)

Opoczyńskie — region na pograniczu Kieleckiego i Mazowsza, posiada stosunkowo wiele zabytków, pamiątek i obumierających częściowo przejawów kultury czasów minionych, przy jednoczesnym istnieniu rozwijających się, żywych form kultury dzisiejszej. Opoczyńskie jest do chwili obecnej skarbnicą materiałów etnograficznych. W roku ubiegłym, przez kilka miesięcy lata i jesieni, na terenie tym przebywała prowadząc badania i gromadząc materiały ekspedycja Muzeum Etnograficznego z Łodzi. Biorąc udział w pracach tej ekspedycji miałem możliwość zapoznania się z kulturą ludową w jej obu postaciach: duchowej i materialnej, oraz historią tego regionu.

Byłem świadkiem przemian poważnych. Zmieniło się tu wiele od czasów, kiedy Kolberg jeździł po Opoczyńskim opisując obrzędy, zwyczaje, spisując teksty pieśni. Jego dzieła pożytkły już w bibliotekach. Pieśni spisane przez niego przeszły w większości do historii. Nie śpiewa ich lud opoczyński. Podobnie jest z innymi przejawami kultury. Zamieranie jednych, a powstawanie drugich, daje się zauważyć na każdym kroku. Bezspornie objaw ten, wywołany i uwarunkowany jest przemianami ogólnospołecznymi i reformami gospodarczej wsi. W miarę oddalania się ustroju pańszczyźnianego znikła wieś Kolberga, mająca wiele wspólnych więzi z kulturą szlachecką. Ginę wzorowane na szlacheckich stroje ludowe, giną w ogóle stroje jako odznaka klasy społecznej. Zanik pracy zbiorowej pociągnął za sobą upadek pieśni, tańca grupowego, wielu obrzędów i zwyczajów, wiążących się z powiązaniem pracą zbiorowiskiem. Niewątpliwie w owych przejawach kulturowych tkwiły pewne wartości. Dziś, podlegając prawu ewolucji, nikną one bezpowrotnie. Żałamywać rąk nad nimi nie możemy. Muzea Etnograficzne zaksięgowały już dawno te pozycje kultury ludowej.

Na ich miejsce zjawiają się nowe formy, przejmowane z kultury mieszczańskiej, a rzadziej wypracowane przez lud i warunki. Widzimy to wszędzie, widzimy wyraźnie, jak wieś kroczy od sielankowej, śpiewającej i malowniczej wsi Kolberga o kulturze niskiej, wzorowanej na szlacheckiej, poprzez wzorce mieszczańskie do funkcjonalnej, czystej, zdrowej i światłej wsi niedalekiej przyszłości, opartej o własną kulturę ludową.

Dla zilustrowania moich uwag podaję zdjęcia i rysunki (Oryginały zdjęć znajdują się w Miejskim Muzeum Etnograficznym w Łodzi). Weźmy jeden z najbardziej czułych wskaźników cywilizacji — dom człowieka, reprezentujący tu architekturę. Najstarsze spotykane chaty (wiek XVIII—XIX) zbudowane z grubych bali sosnowych lub modrzewiowych, obrabianych siekierą. Dachu czterospadkowego kryte słomą. Chaty te zazwyczaj posiadają sien, ko-

morę, izbę i budynki gospodarskie, oprócz stodoły, pod jednym dachem. Chata podmurówki nie posiada. Ozdób brak. (Fotografia nr 1, 2, 3, 4). Typ chaty nowej budowany jest z drzewa sosnowego cienkiego, obrabionego przy pomocy narzędzi ciesielskich. Dach dwuspadkowy. Szczyty, ganki, okna, drzwi, wiatrówki, bogato rzeźbione i wycinane. Podmurówki z kamienia, ściany często malowane (Fot. i rys. nr 2, 3, 4, 5, 7). Typ najnowszymi chaty budowany jest przeważnie z drzewa. Spotkać można budynki murowane. Dach dwuspadkowy, podniesiony nad murłatę i podszalowany (tzw. „na kremle”), kryty blachą, dachówką lub słomą. Ozdoby rzadsze i bardziej szablonowe. (Rys. nr 5, 7).

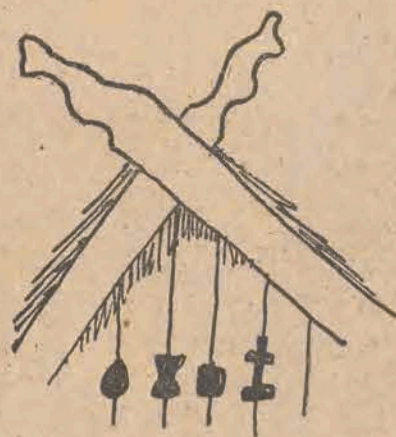
Ulega również zmianie wnętrze chaty. Sprzęt domowy staje się coraz bardziej prosty, szablonowo jarmarczny, odarty z ozdób, ale zarazem bardziej funkcjonalny i przystosowany do wymagań higieny. (Fot. nr. 8, 9, 10, 11, 13).

Zmienia się strój ludowy zamieszkujących te chaty. Znikły szerokie pasy, długie na kilka metrów wzorowane na szlacheckich. Cały męski strój ludowy powędrował do kupionych na jarmarku w Opocznie, Odrzywole, Studziannie lub Drzewicy skrzyń. Kobiety zachowały go jeszcze, ale pokolenie młodsze nosi go już tylko w święta. Jego miejsce zajmuje ubiór uniwersalno-mieszczański. Wielu z etnografów gorliwie broni strojów regionalnych. Strój ten posiada jednak obok malowniczości i barwności i odrębności dzielnicowej i wady. Jest ciężki, niewygodny, kosztowny i nieodpowiadający wymaganiom higieny. Szerokie, długie spódnice i fartuchy kojarzyły mi się zawsze z krynolinami, a ciasne staniki, płaszczące piersi ścisające klatkę piersiową, z gorsetem (Fot. 6, 12).

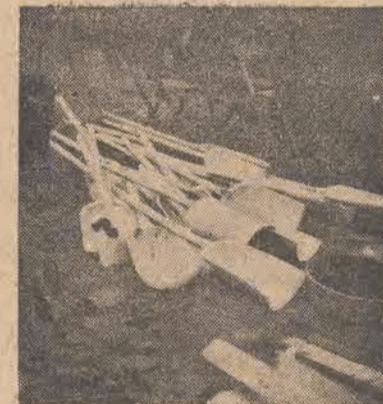
Zmianie ulec musiała i psychika człowieka. Ale rozważania na ten temat; to sprawa niezwykle subtelna. Stwierdzić jedynie mogę, iż zmienił się jego stosunek do siebie i otoczenia. (Zdjęcia nr. 14, 15).

Uwagi moje są tylko luźnymi spostrzeżeniami, którymi dzielę się z czytelnikiem. Nie stawiam sobie za cel wytknięcia wskazówek mających prowadzić ku stworzeniu kultury wsi polskiej. Problem ten jest zbyt skomplikowanym, by rozstrzygnąć go w pełni jednym cięciem.

Żyjemy w epoce doniosłej w dziejach kultury ludowej. Jesteśmy świadkami kształtowania się jej nowych form. Nie możemy nie wziąć udziału w ich kształtowaniu. Od nas bowiem, w wielkiej mierze zależy ich charakter i przyszły poziom. Kultura warstwy do niedawna upośledzonej, kultura 70 proc. części narodu, kultura mająca tyle jeszcze do osiągnięcia nie może być puszczona samopas, kształtować się przypadkowo, z dnia na dzień, jak Bóg da.



7. Ozdoby przy szczytach



8, 9, 10, 11. Z jarmarku w Odrzywole



13. Wnętrze chaty



12. Chłop w stroju odświętnym

Józef Andrzej Frasiak

Łza matki

Kolysankę zawsze przywykła
nucić nad dziecką kolyską —
utrudzoną pracą i nikła,
sama ślania się nisko.

Nim zaśnie córeczka, już w okno
struga przedrannego złota
przeblyskuje w szybach jak wota,
zorza w oknach już płoną.

Jeszcze liczy dziecką oddechy,
jeszcze wstruchuje się w tętno —
i już jej łez, już się uśmiecha —
zorza w oknach już błędna.

Rano, drzewo znosi, ogień roznieca,
nad ballą się sehyli, charuje długo —
a gdy wiatr bieli i trzepoce chusty
nad strugą —
o daj jej złoto rós i woń polnego kwie-
cia.

Córka jeszcze nie nie wie:
śmiechem łśni jak pogoda —
o moja dziecina i młoda
jak paki bżów, jak ptaków lot,
jak obłoków łśnienie na niebie.

Józef Ozga-Michalski

Brzoza

Rosły w dolinie brzeziny zielone
pnie miały białe.

Pastuchy bydło tam przyganiały
na trawę.

I był pastuch niekoślawy
prosty —

Jak brzezica co rosła
z kraja —

Reszta brzezim i chłopaków
graślawą stała
przez dzień

nie przez noc,

bo w nocy chłopaki spały.

Pod tą brzezią prostą białą

chłopak ten prosty stawał

i płakał razem z brzezią,

że mu zimno w nogi,

bo był boso

— Nogi mi się obroszą

I drzał razem z brzezią,

co drzała

Ale ona nie z zimna,

przyczyna była inna;

Stał naprzeciw jawor

w niebo zeszmukłony

był młody zielony

i żony

jeszcze nie szukał.

To drzała brzezina

powiewem z onego drżenia

gałązki mu odgina

jak ręce.

Jakby chciała co prędzej

w nie wpaść

A jawor korzenne stopy

Wparł w ziemię

i brzemie

odginał miłosnych

wstrzymuje —

Może

ją tam gdzie dotknął pod ziemią

pociemku jak w komorze,

— gdy parobek pannę dotyka nieśmiało

więc jawor ciało

brzozowe chyba korzeniem namacał

jeno nie wiem czy zaczął

opłacać korzeniem jej ciało —

chyba nie,

bo brzezina nieśmiało

listki puściła miłosne

Na wiosnę...

Dr Mieczysław Kafel
i Amalia Zielewicz

O WAS, KOBIETY

(50 lat pracy kobiety wiejskiej *)

1. UWAGI WSTĘPNE

Gdyby ktoś chciał szukać argumentów na poparcie twierdzenia, iż dorobek kobiety wiejskiej w życiu i postępie społecznym wsi był i jest przez naszych historyków zapoznany, to argumentem najsilniejszym wydaje się być nieuwzględnianie tej pozycji (pracy społecznej kobiet na wsi) w opisach, wspomnieniach i publicystyce ostatnich dwu lat. A są to przecież lata jubileuszu 50-letniej chłopskiej pracy społecznej i politycznej.

To też słusznym nam się wydaje — zanim przejdziemy do uogólnień i podsumowania całości wysiłków społecznych kobiety wiejskiej w Polsce — dać czytelnikom przykładowy przegląd tych prac na terenie jednej wsi, jednego ośrodka pracy gospodni.

Ośrodkiem tym będzie znana przed wojną a i dziś nie pozostająca w tyle wieś Handzłówka w powiecie Łańcuckim.

2. Z HISTORII HANDZŁÓWKI

Handzłówka obok Liskowa (drugiej wsi wzorowej) była często wspomnianą przez działaczy i socjologów wsi. Podnoszono przy różnych okazjach dzielność, zaradczność i wyrobienie społeczne mieszkańców tych osad. Stawiano — i słusznie — jako wzór do naśladowania. Przy okazjach tych nie podnoszono jednak pracy i udziału kobiety, która przynajmniej równy jeśli nie większy wkład w dorobek tych wsi. Dobrze więc będzie zwrócić obecnie uwagę na to zjawisko.

Wzorowość Handzłówki wyrosła bowiem z ciężkiego, codziennego wysiłku w którym dużą rolę odegrała kobieta-gospodyni.

Wies leży w pagórkowatej i lesistej okolicy na Podkarpaciu. W roku 1921 liczyła 1572 osób, budynków mieszkalnych 316, w roku 1931 liczba mieszkańców zwiększyła się do 1685, zaś budynków mieszkalnych do 342. W roku 1931 powierzchnia gruntów wynosiła 11,72 km², czyli na głowę przypadło około 60 arów ornych (52 arów — nie cały móg).

W tej małej stosunkowo wsi, w której rozdrobienie gruntów jest bardzo wielkie, istniały już przed wojną światową następujące instytucje gospodarcze i społeczne: Kółko Rolnicze, Kasa Reiffeisena, Sklep Kółka Rolniczego, Koło Gospodyń, Spółdzielnia Mleczarska, Ochotnicza Straż Pożarna, Chór i Teatr Włościański, Drużyna Bartoszoza, Czytelnia.

3. PRACA KOBIET

Nam idzie o pracę kobiet wiejskich w tych organizacjach. Otóż w czasach przedwojennych zrozumienie dla spraw społecznych u kobiet jest bardzo małe. Kobieta nie doś, że sama nie udziela się, ale często utrudnia społeczną pracę mężowi nie pozwalając mu pójść na zebranie z obawy, że się „rozwióczy”. Niektórzy spośród mężczyzn czynni i uświadomieni, pracujący w swych organizacjach, pragnęli usilnie zorganizować stałe zebrania kobiet. Kobiety początkowo „walczyły” z inicjatywą mężczyzn. Bojkotując kilka razy umiawiane zebrania, uważały to wszystko za niepotrzebną stratę tak cennego na wsi czasu.

Działacze miejscowi jednak nie ustępują. Wreszcie udało się zwołać pierwsze zebranie kobiet w Handzłówce. Odkryło się ono 25-go marca 1939 roku. Do licznie zebranych kobiet przemówił Franciszek Magryś, późniejszy autor „Żywota Chłopa-Działacza”¹⁾, gdzie wypowiedział się na ten temat w następujący sposób: „Przez kilka lat odbywały się w naszej wsi takie zebrania kobiet. Wreszcie w lutym w 1907 roku kobiety same odczuły potrzebę zawiązania kółka rolniczego kobiet. Zaprosiły mię na zgromadzenie, więc korzystając ze sposobności zachęciłem je do stworzenia samodzielnego związku, który da im wiele korzyści. Od kobiet bowiem wiele wymaga się a mało im daje się nauki. Żądają, aby kobieta była pobożna, gospodarna, ocheć, cnotliwa, moralna, dobrą żoną, dobrą matką i t. p., do czego potrzeba wiele nauki i oświaty. Gospodarstwa drobniej, mężowie wychodzą do Prus, do Węgier, do Ameryki, a gospodynie zostają same z dziećmi na gruncie, mają wprawdzie całe gospodarstwo, ale na wypadek taki gdy same zostaną w domu powinny uczyć się samodzielności w jego prowadzeniu i nietylko w domu, ale i poza domem. Zgromadzenie o którym wyżej wspomniałem zrozumiało dobrze te sprawy, skoro doprowadziło do zorganizowania kółka rolniczego kobiet, do którego wpisało się 30 kobiet na członków. Pierwszą przewodniczącą była Maria Rajzerówna, zastępczynią Julia Cwynarówna, sekretarką Magdalena Zenaarówna. Na zebraniu kółka rolniczego kobiet miałem często odczyty o wychowaniu dzieci, o porządkach w domu, o chowie bydła, trzody, drobiu i ogrodnictwie”.

Takie były początki. Lat temu pięćdziesiąt...

*) Przykład z terenu jednej wsi. Fragment większej całości.

1) Franciszek Magryś, Żywot Chłopa-Działacza — Lwów.

4. UDZIAŁ KOBIET W ORGANIZACJACH HANDZŁÓWKI

Przełamano więc pierwsze lody. Kółko rolnicze kobiet jest początkiem rozwijającej się później różnie, wszechstronnej pracy społecznej na terenie tej wsi.

W niedługi czas kobiety same występują z inicjatywą założenia Szkoły Gospodyń Wiejskich w sąsiedniej wsi Albigowej.

Oddajmy jednak głos Magryśowi, który pisze:

„Urządzano w Łańcucie uroczystość narodową ku czci Mickiewicza, gdzie spotkałem się z psem Zardeckim, z którym to rozmawiałem wiele o sprawach społecznych. Miedzy innymi powiedział mi: „Panie pośle jest już na wsi zmiana na lepsze, mamy kółko rolnicze, gdzie my chłopcy możemy się nauczyć wiele, ale nasze kobiety są jeszcze bierne, a im bodaj więcej potrzeba nauki jak nam, bo jako matki dobre dzieci wychować winny i również winny być dobrimi gospodyniami. Kobiety nasze winny znać się na higienie, na przyrządzaniu potraw, chowie bydła, trzody i ogrodnictwie”.

Zardecki przyznał rację i jako przykład podał między inn., że kobiety mało na wsi umiały, kiedy bowiem został zaproszony do najbogatszego gospodarza w Markowej, widział najlepiej jak nie umiano tego wesela urządzić, ani gości przyjąć, choć było wszystkiego pod dostatkiem”.

Na skutek tych różnych starań zorganizowano tymczasową szkołę dla gospodyń. Myślano jednak ciągle o założeniu stałej szkoły gospodarczej wiejskiej, która miała gospodarstwo rolne, potrzebne do nauki praktycznej i która miałaby również własne budynki. Wreszcie powstała w Albigowej szkoła kosztem krajowym, która do dziś jest ważnym ośrodkiem krzewienia kultury rolniczej na wsi”.

Przytoczymy jeszcze inne zdanie Magryśa z Handzłówki o kółku kobiet²⁾.

„A jeszcze i poza domem powinna każda kobieta umieć prowadzić gospodarstwo na własną rękę by przynosić dochodu z każdej gałęzi gospodarstwa; powinna umieć prowadzić rachunki, znać się na ogrodnictwie i sadzić marchew, cebule, pietruszkę, ogórki, banie i inne warzywa, chociażby tylko do urozmaicenia i przyprawy potraw. Bo nasze gospodynie umiały tylko ugotować barszcz, ziemniaki, kapuste, kaszę na mleku i kluski gniecione i to cała parada, a nie śni im się nawet, żeby to często odmienić, zaprawić czemś inaczej. Każda uważała to za jakieś pańskie wymysły, a przecież ciężko pracującej każdej chciałyby i zjeść i mieszkać porządnie i czysto się ubierać, bo to przyczynia i zdrowia, i siły, i wesela. Dlatego gospodyni każda powinna znać dobór nasion warzywnych; wiedzieć, które dorodniejsze, lepsze, gdzie się które uda i jakiego potrzeba mu nawozu i jakiej uprawy, żeby się udały. Ale chociaż wie która, co to jest nawóz? A no — powiedzą — gnój do was należy, niech chłop dobrze grunt znawozy, zasieje, posadzi, to my już okopamy i wszystko będzie dobrze. A tymczasem chłop nie ma na to czasu, bo coraz częściej zarabiac musi po za domem i prawie nigdy nie ma go w domu, fak, że ledwie na noc powróci. Dlatego kobiety powinny dbać o nawóz, gdyż dobry nawóz pomnaża ją, wszędzie leży to bezładu, na kupie, woda zalewa i zmywa, a gospodynie nawet nie wiedzą, wiele przez to marnuje się pieniędzy. Dlatego też powinny gospodynie garnąć się do oświaty, zawiązywać kółka kobiece przynajmniej raz na miesiąc zbierać się i pouczać o swoich obowiązkach, a będą umiały lepiej gospodarować, utrzymać porządek w chacie, lepiej chodzić koło bydła, uprawiać warzywa i szanować nawóz, a wtedy pomnoży się dobrobyt i nie będziecie narzekali na biedę”.

W naszej wiosce kobiety przed rokiem już zawiązały kółko i schodzą się dwa razy na miesiąc, zawsze w niedzielę po niesporach, oprócz tego urządzaliśmy po godach dwa walne zgromadzenia wszystkich kobiet z całej wsi, na których rozprawiano się o różnych ważnych sprawach jak o wychowaniu dzieci, o chowie bydła, trzody chlewniej, drobiu, o szanowaniu nawozu od drobiu, o organizacji kobiet, o sklepie kółkowym i t. p. Kobiety były bardzo zadowolone, oświadczyły, że kółko im potrzebne, i uchwałyły żeby częściej takie zebrania urządzić. I chociaż to dopiero początek, a już dziś zmieniło się u nas na lepsze tak, że nauczyciel nasz, który tego roku przyszedł do nas z innej wsi mówi, że nigdzie dzieci nie przychodzi do szkoły tak czysto i porządnie ubrane, jak u nas i dziwił się, że w Handzłówce bieda nie widać, choć to już górka gleba”.

Takie były początki życia społecznego kobiet w Handzłówce. Stosunkowo w niedługim czasie kobiety handzłowskie doszły do przekonania, że oświata, praca społeczna, samokształcenie, to jedna z głównych dróg do dobrobytu. W Handzłówce jeszcze długo przed pierwszą wojną światową odpowiadały kobiety czynem na zarzut, że kobieta społeczna nie będzie dobrą matką czy żoną. Zarzut, który jeszcze dziś tu i ówdzie jest wysuwany.

2) Przewodnik Kółek Rolniczych 1908 r., str. 241.

Gospodarstwa tych kobiet, którym nie obca była księżka czy dobry odczyt, były schludniejsze, dzieci lepiej i racjonalniej odżywione i t.d. Od tych początków minęło wiele lat.

5. OSTATNIE LATA PRZEDWOJENNE *)

Z chwilą zorganizowania dziecięcych spraw wychowania dzieci w Handzłówce posunęła się o wiele naprzód. Przeciętnie znajdowało się w dziecinie co roku 30 dzieci. Koszty miesięczne wynosiły 85 zł czyli 3 zł opłaty od jednego dziecka.

Kobiece wiejskiej należącej do organizacji nie wystarczała już umiejętność szycia, gotowania, gospodarowania. Zdaje sobie ona należeć do spraw z jej zadań i praw życiowych, z jej równouprawnienia z mężczyzną. W związku z tem zauważyliśmy ciekawy objaw: ze wzmożeniem akcji politycznej na wsi spada procent członkiń w organizacjach fachowych, gospodarczych, oświatowych. Uwierdzają nas w tym przeświadczeniu stosunki obserwowane na terenie Handzłówki. Wiele kobiet należących do Koła Gospodyń Wiejskich przechodzi w ostatnich latach przedwojennych do Koła Kobiety przy Stronnictwie Ludowym. Obserwujemy to nietylko w samej Handzłówce, ale na terenie całego powiatu łąncuckiego. Na terenie tego powiatu było bowiem Kół Gospodyń Wiejskich *)

W roku 1925	34
„ „ 1937	25
„ „ 1938	18

Aby zapobiec wypisywaniu się członkiń i zapewnić możliwość egzystencji i rozwoju Koła Gospodyń Wiejskich w Handzłówce, dano możliwość kobietom zapisywania się równocześnie do dwóch organizacji, przez uchwalenie odpowiednich poprawek w statutach miejscowych organizacji.

Bardzo żywą organizacją kobiecą działającą na terenie Handzłówki (1938—1939) była Sekcja Kobiety przy Stronnictwie Ludowym. Miała on charakter wybitnie polityczny, ale i tu nie brak dążeń gospodarczych, oświatowych i innych prac nad wszechstronnym wykształceniem kobiety wiejskiej jako matki, gospodyni, obywatelki. Do Sekcji S. L. należało w 1938 r. — 55 członkiń.

Na zebraniu uczęszcza przeciętnie 40 do 50 osób. W Handzłówce mieszkało wtedy około 600 dorosłych kobiet, a więc do organizacji politycznej należało około 10% kobiet. W większej części należały tutaj kobiety, które już przeszły szkołę pracy społecznej w Związku Wiejskiej Młodzieży „WIC”³⁾. Posiadają już one pewien zasób wiadomości i wyrobienia organizacyjnego. Według przeprowadzonych przez nas obliczeń (przeciętnie) należą do tej organizacji kobiety w wieku od 23—60 roku życia. Bardzo często urządzają zebrania mężczyzn. Uważają, że tak jak w chacie wiejskiej powinna panować zasada współpracy z mężczyzną, tak też powinno być w życiu społecznym i politycznym.

Dowód tego dała Handzłówka i inne okoliczne wsi w czasie strajku rolnego w przeworakim w 1937 r., gdzie kobiety okazały wielką wytrwałość i ofiarność w służbie społecznej dostarczając chłopom żywności i oddając im wielkie usługi organizacyjne.

Istniało również na terenie Handzłówki — Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. Do koła tego należało 25 dziewcząt. Urządzały one raz w miesiącu zebrania, na których wygłaszane były referaty na temat kwestyj społecznych i prawnych, poruszanych w encyklikach papieskich. Organizacja ta zajmowała się również konkursami rolniczymi.

Według Statutu do Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży mogą należeć dziewczęta od 18 roku życia. Dla młodzieży wieku od 12 do 17 lat tworzone są t. zw. koła przygotowawcze. W Handzłówce w kole takim było zapisanych 20 dziewcząt. Poza miejscowym księdzem, opiekowała się nimi starsza młodzież, zarządzając im wspólne gry, zabawy i pogadanki.

Na terenie parafii handzłowskiej istniało również stosunkowo b. liczne towarzystwo Bractwa Kościelnego.

Organizacja ta ma charakter czysto religijny. Program jej oparty jest jedynie na praktykach kościelnych np. przystępowanie do Najświę. Sakramentu, odmawiania różańca. Działa się między sobą na Bractwa Różańcowe liczące po 15 kobiet, które tworzą tzw. żywy różaniec. Należały tu przeważnie starsze kobiety.

(C. d. n.)

*) Podajemy na podstawie przeprowadzonej przez nas na miejscu ankiety i uzyskanych dat od miejscowych organizacji. Ankieta została przeprowadzona w 1939 roku.

*) o. c. ankieta.

SPROSTOWANIE

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” Warszawa, ul. Smulikowskiego 4, zawiadamia, że termin nadsyłania prac konkursowych na powieść dla młodzieży upływa z dnem 1-go czerwca 1947 r., a nie 1 kwietnia, jak mylnie podała część prasy.

W I E R S Z E Z T E R E N U

Mikołaj Sobczyński

Żarna

Zamknęli niemcy drzwi we młynie,
Nigdzie nie zmielisz ani ziarna;
Dłubałem długo dwa kamienie
I jakoś zmajstrowałem żarna.

Zrabował niemiec nasze mienie,
Głód i łapanki — ciężka próba!...
W piwnicy huczą dwa kamienie:
Hej żarna — moja chluba!

Mieł i mieł... Mieł trzeba.
Jak mogę — czynię matce zadość.
Spiekła mamusia bochen chleba —
Hej żarna: moja radość!

Choć w piwnicy pełno chłodu,
Jednak pot strugą łez z czoła.
„Nie zginę, niemcze, z głodu!” —
Uparta dusza woła.

Ale niedługo szczęście było.
Tylko z początku żarna cudne:
Wnet mieł strasznie się sprzykrzyło —
Oj, żarna nudne — nuuu dne...

Ciężko mi, ciężko i smutno mnie.
Oj, dolo moja, dolo!...
Mieł samotny przez całe dni:
Och, żarna — ma niedolo!

Mieł i mieł... Od mozoli
Jedna i druga piecze ręka,
I tęskno mi, i serce boli —
Ach, żarna — okrutna męka!

Jadwiga Limba

Niedziela babia

Nawet w niedzielę pełno robociska —
dzieci wykapać, oblatać, wyiskać!

Chłopu polatać trzeba chałpne portki,
(niedziela gorsza od codziennej orki!)

Gruntu odróbka — juści małorolni —
przednówek ciężki — aż serce boli!

Zawdy robota — zwykła doła babia,
swoje odrobić — u ludzi wyrabiać!

Dziecisków kupa — ostatnie w kołysce,
ciżba na łózkach i ciżba przy misce — — —

Jedno na rękach — a drugie już w drodze —
(ktoś zły urągał: za dużo tych rodzeń!!!)

Tymu trza buciat — a tymu sukienki,
(ciągiem kołyski i ciągiem trumienki — — —)

... Na mszy porannej w kościele tak pięknie,
tak krzyże bolą, kiedy człowiek klęknie!

Organy grają i pachnie kadzidło,
(czy też tam Jasiek wygnał w pole bydło?)

Mięsza modlitwy z różańcem kłopotów,
myśl jak ptak chory, próżno rwie do lotu!

I ślepa wiara wadzi się z zwątpieniem
O, Boże czemu karzesz wojną ziemię — — —?

Ksiądz na kazaniu woła „kara Boska”
— — — czy Bóg na niebie wie o ludzkich troskach —?

... że pusty sąsiedź — ostatnia krowina,
Bije się w piersi — Chryste, moja wina.

Trzeba się modlić — skamlać do uporu,
... od głodu, od wojny i moru — — — — —

W chałpie cior wielki — w chałpie pełno kisu,
a chłop urąga: leniu — nierobisiiu!!

a bydło ryczy, dzieciska despecą,
nikt nie zapalił — całkiem ciemno w piecu,

Trza trzeć ziemniaki — robić placki z tarcin,
bo żyta ino na tydzień wystarczy — — —

Wieczór w maśnicze, bo to jutro jarmark,
(jutro przededniem, trzeba mleć na żarnach!)

Mleko trza scedzać, dzieciska okradać,
(Jasiek nie rośnie i Marysia błada!)

Nie liźnie człowiek ni masła ni jajka,
(za to wychody — nawet chłopska fajka)

Nie, popołudniu nie pójdzie na nieszpór,
zawdy robota od świtu do zmierzchu — — —

Świąteczne dery trza ułożyć w skrzyni,
i kwas z ostatków na placek podczynić...

Gdyby rozprościć kościska choć końdek — —
Kajta! Wieczera i bydłat obrządek!...

...Drzymiacy pacierz: „Boże, jakim staba”
i tak się kończy ta „niedziela babia”!...

Trzebunia, 1944 r.

Edward Wrona

Z Dolnego Śląska

Sianokos

Czy czujecie?
Jak to mocno pachną siana,
Lipa w słońcu rozkochana!
Idą z kosą w pole chłopci.
Deszcz im siano w kopach kropi,
Czasem słońce dobrze parzy,
Idą w pole młodzi, starzy
Wśród kwitnących w polu maków.
Idą, idą do buraków...
Idą, idą i dziewczęta,
I w niedzielę i we święta
Do kościoła w Ludwikowie —
Każdy przyzna, każdy powie —
Słychać dzwony, serca bicie:
Wkoło widać polskie życie.
Idziesz w pole, czy na drogę,
Wszędzie słyszysz polską mowę.
A dziewczęta niby wiśnie —
Uśmiechnie się i uściśnie.
Uśmiechnie się i zaśpiewa —
Więcej, więcej takich trzeba.
Wśród dni jasných, czasem szarych
Stoj kościół wśród lip starych.
Prawie wszystko w ławkach siedzi.
Ksiądz zaś czyta zapowiedzie.
Tam, gdzie wieże smukłą widać,
Toż Świdnicy dzwony słychać.
Tam ksiądz prałat kaznodzieja
Ludzkie dusze tu wybiela
Krzepkim głosem co niedziela:
W górę serca, w górę czoła!
Rośnie Polska, rośnie nowa,
Praca jego wdzięczna, wielka —
Niech nam żyje ksiądz Marchewka!
Fabryk coraz więcej dymi,
Ziemia cała w zbóż zieleni:
Rośnie żyto i pszenica,
Każde oko się zachwyca.
Czerwieni się sad różami,
Gną się drzewa z owocami.
Wino rośnie popod ściany,
Słowik śpiewa w nim schowany.
A tam w oknie za firanką
Coś szeptała Jasiek z Janką.
Pachną róże, pachną kwiaty,
Gdzieś w sąsiedztwie dudnią basy.
O, tam wioska ukochana...
Pachną lipy, pachną siana...

Wojciech Biernat

Młocki

Kuba z Maćkiem pracowici
wzięli cepy, poszli młócić.
Najęli się u plebana,
biją w snopy już od rana.
Choć im ręce ustawają,
wciąż cepami wykręcają.
Po południu koło trzeciej
wprost do młocków pleban leci:
„Szczęść wam Boże, dobrzy ludzie,
i jak wam tu praca idzie?”
Już widać słabo bijecie —
za co zapłatę bierzecie?”
Lecz niedługo gderał przy nich,
bo go woła gospodyni.
A zaprasza też i młocków,
by poszli do podwieczorku.
A jegomość w onej chwili
do parobka się skarżyli:
„Najmy słabo wymłacają,
ledwie cepy wykręcają.”
„To niech się ksiądz w słomie skryją,
a poznają czy źle biją.”
I nakrył go słomą grubo,
a już młóca Maciek z Kubą.
A spod słomy słychać: dość, dość,
bo tu jest jego... jego... mość...”
Jegomość się przekonał,
że chłop cepem dobrze wali.

Stanisław Paleczny

Pastereczka

Rada by ja rada jeszcze se pospała,
a tu matuś krowkę popaść mi kazała.
Zimna rosa szczybie bosc moje nogi,
nie wzięłam trzewiczków, mój Ty Boże
drogi.

Czarna moja krowka gwiazdkę ma na czole,
spokojna, nie biega przez szerokie pole.
Oj, ty krowko moja, co mi mleko dajesz,
ja cię tam zawiodę, gdzie się dobrze najesz.

potem cię napoję w tej krynicznej wodzie,
zawiodę do domu, uwiążę w zagrodzie,
bo znowu do szkoły biegnąć muszę lotem,
Oj, Boże, co ja to mam w życiu roboty!

DO „NOTATEK Z OPOCZYŃSKIEGO” (str. 3)



14. Krzyż przydrożny (Radzice Małe)



15. Kapliczka św. Jana Nepomucena — rzeźba w drzewie wykonana przez miejscowego artystę (Idzikowice)

Czesława Dalkówna

Pomiędzy rodziną

Opisać swoje życie nie jest tak łatwo, jakby się zdawało z początku. Raz mi się widzi, że to co przeżyłam, jest ważne. Innym znówu razem, że nie ma żadnego znaczenia. Ale postanowiłam być szczerą i zanotować, co uważam za warte powiedzenia, a już jeżeli kto to będzie czytał, to musi sam ocenić, czy to ma jakie znaczenie.

Nieraz ludzie się chwala, nieraz ludzie się znówu pomniejszają — jak kto: jeden mówi, że na pieniądzach spi, a grosz przy nim nie śmierdzi. Inny znówu opowiada, że nie ma co w garnek włożyć, a stale tylko po szynkach i knajpach wysiaduje. Ja e sobie będę tak mówiła, jak jest. Najwyżej czegoś nie dodam, ale nie nie uję.

WIEŚ I DOM.

Urodziłam się w pewnej wiosce w powiecie łęczyckim dnia 17 maja 1925 roku. Rodzice mieli tylko cztery morgi ziemi, a nas było w domu sześcioro. Ja byłam najstarsza — reszta dzieci był to sam drobiazgi. W naszej wiosce ziemia była licha, jak na złość, bo już inne dalsze miały glebę dobrą i tam ludzie prowadzili gospodarke ogrodową, zbywając produkty w Łodzi, a nawet zawożąc na Śląsk. Szczególnie dobrze się ludziom zrobiło, jak rząd polski pobudował przez Łęczycę kolej od Kutna aż do Łodzi. Wtedy kupcy warzywni przyjeżdżali na miejsce i zakupywali, co tylko było można od samej wiosny, jak się tylko szczypiorki zaczęły, aż do jesieni, kiedy się kopało buraki. Zawsze byli kupcy i zawsze było co sprzedać.

Wioska moja nie jest duża; stanowi ją tylko kilka chałup rozrzuconych po parceli. Zaraz po wojnie bolszewickiej dziedzie pobliskiego dworu odsprzedał część swojej ziemi tym, kto miał pieniądze. Sprzedał więc tylko najgorszą, o słabej, piaszczystej glebie. Resztę zostawił samemu sobie i gospodarzył w dalszym ciągu.

Rodzice nas utrzymywali trochę z plodów tego kawałka ziemi, jaką mieli na własność, trochę zaś, z robót zarobkowych, które wykonywali a to we dworze, a to po gospodarstwach chłopskich tych chłopów, którzy mieli więcej ziemi i nie mogli jej sami obrócić, tym bardziej, że każdy z nich mając dość duże dochody, najchętniej posyłał dzieci do szkół: do gimnazjów, na uniwersytet, a w domu nie miał kto robić, tylko musieli najmować.

OJCOWIE I DZIECI.

Rodzice się męczyli bardzo: szczególnie matka, która miała tyle dzieci, dom, trochę gospodarstwa i jeszcze musiała chodzić na zarobek. Więc w domu zostawialiśmy sami malcy i jedni drugich bawiliśmy. Spiewaliśmy sobie, paśli gęsi, bawiliśmy się w wesela, w pogrzebki, opowiadali o zbójach, opowiadaliśmy sobie zagadki. Jeszcze dziś pamiętam je wszystkie, bo prawie co dzień opowiadaliśmy je sobie od początku, jak nowe i nigdy nam się nie znudziło, choć rezultat z góry już odgadywaliśmy, jak tylko jedno zaczęło je mówić.

Na przykład:
Fitu-fitu, fitu-fitu —
Pełna skrzynia aksamitu: co to jest?
Albo — Przywieźli ją Miemie
w czerwonej sukience,
jak ją rozebrali,

to nad nią płakali: co to jest?
Albo jeszcze inaczej:
Stoi panna w oknie,
warkoczek jej moknie: co to jest?

Dzieci u nas się rodziły — „co rok to prorok”, to chociaż ja dopiero miałam siedem lat już wszystkie były te, co i dzisiaj są, a ja musiałam być dla nich gospodynią. Moi najmłodsi braciśzkowie jesienią to ogromnie się smarkali, a ja zawsze nie pamiętałam ucierać im tych nosków. Więc jak raz mama przyszła do domu na południe i oni mieli takie brudne nosy, to mnie zbita — dość nawet mocno.

Pamiętam, byłam wtedy długo na mamę zła, bo mnie nie biła tak bardzo często, ale dopiero później — później mama się przede mną wygadała, że mnie nie zbita za te noski, tylko jak kopali we dworze na akord kartofle i dawali zamiast pieniędzy za każdy wykopany metr kartkę, to mama trzy kartki zgubiła, ojciec ją też może nderzył, a skończyło się wszystko na moim siedzeniu i skórze.

SŁUŻBA U LUDZI.

Kiedy skończyłam siedem lat, rodzice czekający na moje jakieś takie lata zgodzili mnie do pasenia bydła u gospodarza w trzeciej wsi. Od piętnastego maja do Wszystkich Świętych miałam dostać dwa metry żyta i chustkę na głowę. Mój gospodarz był chłop bogaty: miał czterdzieści morgów pola, cztery konie, dwanaście krów, owce i sporo świń. Dzieci tylko troje, z tych dwoje było w szkole. Córka była w gimnazjum, a syn uczył się na doktora w Warszawie. Drugi był w domu, skończył szkołę rolniczą i miał dziedziczyć po ojcu całą gospodarke. Mieli sporo maszyn do obróbki roli: siewnik, skibowiec*), żniwiarkę, jakieś walce podobne do misek, hakowate i inne.

Pastwisko było niedaleko domu i dróżka do niego ogrodzona była drutem kolczastym, żeby ochronić pola przed krowami, bo szkodowały; to nie było trudne pasenie krów. Najgorsze było wstawanie rano i chodzenie po rosie, kiedy skóra od wilgoci popękała i rany szczypały nie do wytrzymania. Jęczenia miałam dosyć, spałam w komorze od podwórza: budziła mnie zawsze dziewczka, bo i taką mieli do roboty. I był jeszcze paródek do koni, orki, wywózki gnoju i trudniejszych robót w domu i na roli. On spał w stajni razem z końmi, gdzie miał ustawione swoje wyrko. Łatwiej mu było dopilać koni w nocy i nad ranem, jednocześnie stróżował tym sposobem nad inwentarzem w oborze.

SZKOŁA I SŁUŻBA.

We wrześniu tego samego roku zapisałam mnie do szkoły — widocznie w gminie już, bo przecież rodzice wcale do szkoły nie chodzili. Przyszła kartka, że bym się stawiała do szkoły, a ja przecież byłam na służbie. Więc zamiast mnie poszła mama i chciała tłumaczyć nauczycielowi, że do szkoły iść nie mogę, bo jestem na służbie. Ale to nie nie pomogło. Nauczyciel zapowiedział, że za każdy dzień, który nie będę w szkole, rodzice muszą zapłacić karę.

*) Tak nazywają w okolicach Łęczycy plug konny dwuskłobowy.

Potem poszedł ojciec — powtórzyło się to samo. Oni tłumaczyli się służbą, że ja muszę już na rodzinę zarabiać, że jest nas dużo — nauczyciel swoje: że jestem obowiązana iść do szkoły i rodzice będą ukarani, jeśli to się nie stanie. Więc nie wiedzieli, co zrobić. Żal im było mnie odbierać ze służby i brał ich strach o karę, żeby nie zapłacili więcej niż wynosi zarobek.

Tu, gdzie mieszkałam, była jedna szkoła, a tu, gdzie służyłam — druga. Więc na dobitkę tego wszystkiego jeszcze i z tej szkoły przyszło wezwanie do moich gospodarzy, że muszę iść na naukę. Nie pomogło tłumaczenie się moich pracodawców, że mnie zgodzili bez szkoły. Ja musiałam iść i kwita. Więc oni powiedzieli, że nie po to godzili pasterkę, żeby samym krowy pasę i mnie zwolnili. A jak się z rodzicami godzili za ten czas, to też wynikły jakieś kwasy i tak poszło, że rodzice pogniwiali się na szkołę, na gospodarzy, na mnie nawet i byli źli jak oset. Na tym wszystkim najlepiej ja wyszłam, bo poszłam do szkoły, a choć się najpierw bałam, bo nie wiedziałam, jak tam jest, ale potem się cieszyłam, bo było mi lepiej niż krowy pasę i doszłam do wniosku, że ten przymus to był dobrą rzeczą. Inaczej bym do szkoły nie poszła. I nie nie umiała. Potem dało się pogodzić służbę z nauką. Rano szłam do szkoły, a krowy stały na zielonce, albo wypędziła gospodyni, a po południu po szkole ja je wyganiałam i pasłam do wieczora.

DLA DOMU I RODZINY.

Kiedy trochę podrosłam i byłam już silniejsza, zaczęłam chodzić z rodzicami po zarobkach, a na służbę do krów poszła druga siostra. Chodziliśmy do tych gospodarzy, którzy prowadzili gospodarke ogrodową. Robili w ten sposób, że całe pole uprawiali specjalnie, siali dużo nawozów sztucznych, brzegiem dawali żyto lub pszenicę, a w środku całe lany ogórków i między nimi cebule. Tak tam było prawie w każdym gospodarstwie, w każdej wsi na około mnie.

Taka jednak gospodarke wymagała dużo ludzkiej pracy, więc zajęcie było dla nas zawsze: sianie, pielienie, przerywanie, rozsadzanie, wysadzanie i sprzedaż. Teraz chodziło już nas z domu troje — rodzice i ja i zarabialiśmy nieźle, starczyło jakoś dla nas na jedzenie, jakieś takie ubranie i dla ojca na papierosy.

W tym czasie przydarzyło się ojcu nieszczęście. Maszynowali w jednym miejscu kieratem żyto, ojciec podawał snopki w bęben młocarky i niechcący żeby bębna chwycił go za palec. Pocharafało mu całą dłoń, leżał w szpitalu, a kiedy wyszedł, nie miał u lewej ręki trzech palców: wskazującego, wielkiego i serdecznego. Został mu się tylko gruby i mały palec, ale mu to nie przeszkadzało w pracy. Tak się wprawił, że wykonywał każdą pracę — umiał nawet szyć.

W ten sposób, rok za rokiem jedno po drugim nadrastaliśmy i przybywało rak do pracy, zarobku i wyręki dla rodziców. Umieiliśmy pogodzić pracę dla rodziny ze szkołą, bo jak ze mną było trudno i rodzice niedoceniali szkoły dla mnie, tak o te drugie dzieci dbali więcej i już nie sprzeczniali się z nauczycielami o każdy dzień.

WOJNA I MOJA RODZINA.

Kiedy wybuchła wojna z Niemcami, ja miałam czternaście lat i byłam świeżo po szkole. Z gminy wkrótce przyszło polecenie, ażeby każdy mężczyzna zdolny do noszenia broni jechał na wschód w kierunku Warszawy. Ojciec jednak nigdzie nie pojechał. — Ja się stąd gdzie nie ruszam. Tu jest moje i ja tu zostaję. I nie pojechał. Z początku latały nad nami samoloty, gdzie niegdzie zabijały człowieka albo krowe, jeżeli się pasła w polu. Sochał się jeden dom od bomby. Można jednak było wytrzymać. Bardzo z początku ucierpiała Łęczycę:

zbombardowano dworzec, spalono jedną dzielnicę, zginęło kilkanaście ludzi.

Najgorzej jednak zrobiło się wtedy, kiedy nasze wojska wycofujące się z Poznańskiego doszły do Łęczycy i tu zaczęły się walki.

Bliskość frontu i działań wojennych zmusiła nas do opuszczenia domu i udania się na tułaczkę do sąsiedniego powiatu łowickiego. Ale ojciec z nami nie poszedł — został w domu. Po powrocie zastaliśmy wszystko spłądrowane: wszystko nam pokradziono i ojciec nie żył. Zginął od kuli.

OJCYM W DOMU.

Matka miała trzydzieści lat zaledwie, jeszcze jaką taką urodę, a nade wszystko owe cztery morgi pola. To chyba zdecydowało, że po roku zjawił się zalotnik i matka tłumacząc nam, że musimy mieć ojca, wyszła powtórnie za mąż za pewnego wdowca bezdzietnego, zupełnie wyrobniaka, który wszedł w nasz dom.

Odtąd zaczęły się kwasy. Nie wiem, czy dlatego, że myśmy go nie darzyły sympatią, czy też to był zły człowiek, dość, że pomiędzy nami zapanowała bardzo ciężka atmosfera. Fukał na nas, krzyczał o byle co, nieraz uderzył, a wia domo, że z obcej ręki bardziej boli, jak z ręki własnych rodziców.

Nie pozwolił nam długo popasać w domu. Zostało się tylko jedno dziecko, najmłodszy braciśzek. Reszta musiała iść do obcych ludzi na służbę. Pracę łatwo było znaleźć, bo ludzi było jeszcze mniej niż przed wojną. Więc wszyscy prawie poszliśmy na obcy chleb.

NA WYGNANIU.

Wiosną roku 1941 zaczęły chodzić slarchy o wysiedlenie u nas. Gdzie indziej to już się działo, ale myśmy sądzili, że nasza wioska biedna nie będzie podlegała takim zarządzeniom. Ale było inaczej. Więc tak jakoś przy końcu kwietnia zabraliśmy, co mogliśmy: krowę, trochę szmat i drobiazgów tyle, co tylko można było unieść i uciekliśmy wszyscy za granicę, do powiatu łowickiego w noc.

Tu nas ludzie przyjęli nie bardzo chętnie. Nazywali nas dziadokami i nie można było znaleźć mieszkania. Dopiero przez wójta w gminie wyznaczono nam pokoik, ale w tym pokoiku nie było ani kuchni, ani nie. Matka uprosiła trochę cegieł po ludziach, znalazła jakiś kawałek rury i ojczym skłecił coś w rodzaju kominka.

Ale to się nie na wiele zdało, bo już po trzech tygodniach musieliśmy się przenieść gdzie indziej, do drugiego mieszkania, bo pierwszy dłużej nie chciał nas trzymać. Jak to, ja sam będę cierpił tych dziadoków na karku, a inni to nie? — mówił do sąsiadów i musieliśmy się zabierać, bo nie innego nie mieliśmy do roboty.

My wszyscy rozeszliśmy się po służbach za robotą, ojczym bowiem nie znoził nas kolo siebie. Widzieliśmy, że matka cierpi, patrzac na naszą poniewierkę, więc bez sprzeciwu poszliśmy do ludzi. Rodzice jednak w dalszym ciągu wędrowali od domu do domu, bo każdy chciał się jak najprędzej pozbyć takich gości z musu i nie mieć ciężaru obcych ludzi w domu.

Choć z drugiej strony nie byliśmy takim znów wielkim ciężarem dla nich, bo to byli ludzie bogaci, kupowali kanapy, szafy lustra, bieliznę, ubrania, gdyż wojna otworzyła przed nimi wielkie zyski, a bliska granica doży handel: cukrem, mąką, świńmi, bydłem.

Kiedy się mamusi nrodziło dziecko — synek nowy — ojczym prawie nas nie cierpiał. Stąd dom obcy zrobił się nam domem naszym, a dom matki naszej — domem obcym. Nie chodziliśmy prawie w odwiedziny do rodziców. Zawsze chętniej odwiedzała nas matka, jeżeli się mogła wyrwać z domu, ale jak kto chce

Od Administracji

Administracja tyg. „Wieś” przypomina wszystkim Prenumeratom o konieczności odnowienia prenumeraty na rok 1947. Prenumeratę należy wpłacać przekazem pocztowym na konto

P.K.O. — ŁÓDZ VII — 1080

Blankiety należy wypełniać czytelnie — z podaniem miejscowości i poczty.

czegoś dokonać, to dokona, a ona nas chciała widzieć, bo nas przecież nie widywała całymi tygodniami.

Któregoś roku rodzice osiedli wreszcie na stałszy pobyt. A stało się to dlatego, że prawie każdy dom miał wysiedlonego, więc już nie było celu przesiadania się do innych. Pracę rodzice też mieli, bo wynajmowali trochę pola, siali cebulę, uprawiali ją przez lato, a jesienią dzielili się zbiorami. Po nas na drugi rok poszli inni tą samą drogą i w ten sposób nauczyliśmy tę wieś masowej uprawy cebuli.

WEDRÓWKA DO ŁODZI.

Kiedy na wiosnę po nowym roku wkroczyła wojska polskie i rosyjskie, a było to w r. 1945. wróciliśmy na swoje. Jeszcze trupy leżały końskie i ludzkie przy drogach, a myśmy szli zaraz za frontem, żeby się dostać do siebie, a za nami szły całe procesje ludzi wysiedlonych.

Jednak ta wojna nie nie nauczyła mego ojczyma. Uważał tylko swojego syna, a nas miał za nic. To też ja nudałam się trochę pieszo, trochę wozem do Łodzi, tu znalazłam pracę w tkalni, żeby tylko zejść z oczu ojczymowi, a nie narazić na cierpienia matki, która dopiero teraz poznała, jak wielki błąd uczyniła, wychodząc drugi raz za mąż za człowieka obcego. Zamieszkałam u ciotki.

— Może tam ci będzie lepiej, dziecko, niż u nas... — powiedziała matka, kiedy się ze mną żegnała.

Ale ciotka, jak to ciotka, z początku była bardzo dobra, ale z biegiem czasu powstała między nami wojna. Myślała, że ze mnie będzie miała kokosy, a ja ledwie tylko sama na siebie przede. Toteż kiedy teraz matka mnie odwiedziła i zobaczyła na mojej głowie kapeluszy, miała lzy szczęścia w oczach, ale wkrótce przyszła ciotka i jak nie wrzaśnie na mnie tak, że matka aż zbladła i znów swoje:

— Myślałam, że ci tu tak dobrze, ale widzę, że i tu to samo — i znów zaczęła płakać nade mną.

Czesiawa • Dalkówna

WEZWANIE

Do Oddziałów i Członków Chłopskiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i całej wiejskiej społeczności.

Ogrom nieszczęść jakie spowodowała klęska powodzi odczuwa najsilniej dziecko.

Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci wzywa wszystkich a członków ChTPD w szczególności do niezwłocznego niesienia pomocy powodziannym.

Szybka, zbiorowa akcja uratować może zdrowie, a nawet życie niejednego dziecka.

Wzywamy członków i ludzi dobrych do intensywnego udziału w pracach Komitetów Niesienia Pomocy Nieszczęśliwym.

Koła ChTPD z terenów zarynkowanych działają w bezpośredniej akcji pomocy, która do nich przychodzi. Ogniska ChTPD z innych terenów niech niosą pomoc sąsiadka przez udzielanie schronienia dzieciom powodziannym, dostarczanie odzieży, żywności i wszelkiej pomocy ratując zdrowie, wzmagając przez to sily do przetrwania najeźdźczego okresu.

Ofiary pieniężne na pomoc dzieciom przyjmują Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci na konto PKO 4554 (Warszawa, Śniadeckich 23, m. 6).

M. Kokoszkiewicz

Po upowszechnieniu własności

Związek Samopomocy Chłopskiej w pracy ze wsią

Dekret o przeprowadzeniu reformy rolnej z dnia 6 września r. 1944 i dekret o ustroju rolnym i osadnictwie na obszarze ziem odzyskanych i b. Wolnego Miasta Gdańska z dnia 6 września r. 1946, stworzyły w Polsce nową strukturę rolną.

Te akty prawne łącznie z narodowym planem gospodarczym dokonały rewolucyjnej przemiany ustroju społeczno-gospodarczego na wsi polskiej. Przyszła konstytucja będzie miała za zadanie przekształcić ich zasady w formalne normy konstytucyjne i stworzyć nadbudowę ustroju politycznego nad nimi.

Nowego ustroju rolnego na wsi polskiej nie można określić jako socjalistyczny, nie można go określić również jako kapitalistyczny. Na wsi nastąpiło nie upowszechnienie własności, lecz jej upowszechnienie.

Zrealizowany został stary program agrarny stronnictwa ludowego, oparty na powszechnej parcelacji i dążący do demokratyzacji własności prywatnej na wsi. Tu mamy największy i najdalej idący kompromis ze strony stronnictw robotniczych.

To ustępstwo na rzecz stronnictwa ludowego znalazło swoje potwierdzenie w treści planu gospodarczego i rozmachu rozbudowy spółdzielczego aparatu rolniczego.

Struktura gospodarca i społeczna wsi polskiej, kształtująca się przed tym ewolucyjnie, niemal przez stulecia, uległa obecnie gwałtownym przeobrażeniom w drodze przemian rewolucyjnych.

Wpłynęły na to nie tylko zmiany społeczne i polityczne, ale również i samo usytuowanie terytorialne naszego kraju po wojnie.

Dotychczasowy ustrój rolny wsi polskiej był przestarzały, tak w swej formie własnościowej, jak i organizacyjnej, a przede wszystkim miał niezadowolony podział ziemi.

Obok wielkich obszarów ziemskich, stanowiących własność kilku tysięcy osób, było ca 1 mil. zbyt małych gospodarstw rolnych, tak zwanych karłowatych, niedających nawet możliwości wyżywienia się z nich rodzinie chłopskiej, nie mówiąc już o zaspokojeniu innych potrzeb.

Na podstawie danych małego rocznika statystycznego z roku 1937, rolników - właścicieli gospodarstw z rodzinami było ca 16 milionów. Ale ponad 40 proc. gospodarstw rolnych, to gospodarstwa poniżej 3 ha.

Przychód z takich gospodarstw karłowatych, 3-hektarowych, wyniósł rocznie ca zł 450, a ich dochód netto nie przekraczał kwoty zł 100.

W tych warunkach nie można właścicieli tego miliona gospodarstw rolnych traktować, jako prywatnych samodzielnych przedsiębiorstw. Ze społecznego punktu widzenia, byli oni typowymi proletariuszami, pozbawionymi przy tym opieki społecznej, jaką posiadali robotnicy w miastach.

Poza tym dochód z pracy na roli był w dużej dysproporcji z dochodem uzyskanym w innych zawodach i wskutek tego w tworzy przemysłowe były niedostępne dla znacznej części ludności wsi polskiej.

Dlatego też stronnictwo Ludowe dążyło do przebudowy ustroju rolnego, któryby miał taką strukturę gospodarczą i takie warunki rozwojowe, aby wszyscy obywateli zdolni do pracy na roli, byli odpowiednio zatrudnieni i aby nastąpiło wyrównanie opłacalności pracy w rolnictwie z opłacalnością innych zawodów.

W wyniku przebudowy ustroju rolnego mają powstać gospodarstwa chłopskie, zatrudniające zespół rodziny i stwarzające jemu właściwe warunki egzystencji. Gospodarstwa te winny być postawione na takim poziomie technicznym, aby nie tylko nie została obniżona dotychczasowa wydajność rolnictwa, lecz przeciwnie — podniosła się wydajność.

W nowym ustroju znikł typ gospodarstw obszarowych, znikł typ chłopskich gospodarstw karłowatych — poniżej 3 ha, a powstają gospodarstwa drobnorolne, indywidualne, zarówno pod względem własności, jak i formy gospodarowania o przeciętnej wielkości 5 ha na ziemiach starych i od 7 do 15 ha na ziemiach odzyskanych.

Pozostawione nieliczne gospodarstwa folwarczne, będące w posiadaniu Państwa i tzw. resztki poparcelacyjne, stanowiące własność spółdzielczości Samopomocy Chłopskiej, posiadają mają charakter środków kultury rolnej, których zadaniem będzie zaopatrzenie drobnego rolnika między innymi w selekcyjne ziarno siewne oraz bydło zarodowe.

Utworzone nowe gospodarstwa chłopskie, zdrowe pod względem struktury powierzchniowej, winny być również ulepszone w swej strukturze organizacyjnej przez odpowiednie zabiegi techniczne między innymi przez usunięcie szachownic, elektryfikację, mechanizację itp.

Nowy ustrój rolny stwarza drobnorolne warsztaty pracy, dla których będzie potrzebna ustalić kierunek gospodarki rolnej, jaki należy im stworzyć w ramach gospodarki planowej, uwzględniając posiadane przez nie warunki.

W warunkach przedwojennych gospodarstwa drobnorolne posiadały wszechstronny kierunek produkcji, a więc mieszany — zbiorowo-hodowlany.

Ten typ produkcji dla gospodarstw drobnorolnych jest, jak wykazała już praktyka przedwojenna, nieodpowiedni i musi być on w najbliższym okresie czasu zaniechany.

Utworzone nowe gospodarstwa drobnorolne, na których będzie pracowała tylko rodzina chłopska, muszą otrzymać taki kierunek, aby mogły one dać maksimum produkcji przy stosunkowo najmniejszych nakładach kapitału i pracy.

Osiągnięcie tego celu będzie można uzyskać, gdy gospodarstwa drobnorolne nastawione będą na daleko posuniętą ścisłą specjalizację czy to w kierunku produkcji zbożowej, czy też hodowlanej.

Również wprowadzenie postępu technicznego gospodarstw drobnorolnych, może je znacznie powiększyć, a w gospodarstwie typu wybitnie z produkcją zbóż chlebowych lub o znacznej przewadze łąk i pastwisk może nawet podwoić.

Rejonizacja produkcji rolniczej gospodarstw chłopskich, postęp techniczny w obsłudze tych gospodarstw oraz racjonalizacja metod ich pracy, stworzy właściwe warunki funkcjonowania tych warsztatów rolnych i nakreśli odpowiednią linię ich gospodarczego rozwoju.

Objęcie gospodarstw chłopskich narodowym planem gospodarczym, wymaga aby czynniki kompetentne przystąpiły do akcji organizacji gospodarstw wiejskich.

Wykonanie tego zadania należy do Związku Samopomocy Chłopskiej, który jako jedyny organizator i reprezentant zawodu rolniczego, poprzez swoją spółdzielczość, zrzeszenia branżowe i organizację oświaty i nauki rolniczej, realizuje gospodarkę planową w rolnictwie.

W swoich ramach organizacyjnych, Związek Samopomocy Chłopskiej winien stworzyć przede wszystkim zrzeszenia branżowe, któreby prowadziły akcję organizacji gospodarstw wiejskich.

Różnorodność warunków przyrodniczych i ekonomicznych, w jakich znajdują się poszczególne gospodarstwa wiejskie wymaga, aby akcja rejonizacji produkcji w rolnictwie, była prowadzona przez fachowe organizacje rolnicze, które mogą być stworzone tylko w zrzeszeniach branżowych.

Zrzeszenia te są jednym z głównych instrumentów pracy Związku Samopomocy Chłopskiej w terenie i tylko przez właściwe zorganizowanie i funkcjonowanie zrzeszeń branżowych, będzie można stworzyć odpowiednie warunki dla organizacji gospodarstw wiejskich.

Do zasadniczych zadań zrzeszeń branżowych, należy przede wszystkim prowadzenie daleko posuniętej i ścisłej specjalizacji w uprawie poszczególnych zbóż i hodowli. Zrzeszenia branżowe, prowadzące na terenie organizacji gospodarstw wiejskich, występują w charakterze nauczyciela i doradcy społeczeństwa wiejskiego oraz koordynatora prac w zakresie znacznego podniesienia wydajności jakości danej produkcji rolniczej.

Praca zrzeszeń branżowych w organizacji gospodarstw wiejskich, musi sięgać najgłę-

biej w życie warsztatów rolnych danej produkcji i mieć możliwość ustalania najistotniejszych wad, możliwości i potrzeb gospodarczych danej gałęzi branżowej.

Zrzeszenia branżowe prowadzą swoje prace w terenie, za pośrednictwem gromadzkich instruktorów. Nauczanie musi być oparte na stałym i ścisłym kontakcie instruktorów z poszczególnymi zrzeszonymi członkami. Instruktor obowiązany jest z każdym członkiem analizować całość jego gospodarki, omawiać z nim każdy szczegół, ucząc go kalkulacji produkcji; wskazywać należy, jak usuwać dotychczasowe błędy w technice prowadzonej produkcji.

Wybór instruktora terenowego jest ważnym, gdyż od jego kwalifikacji zależy w dużym stopniu powodzenie całej akcji na terenie gromady. Instruktor musi się pod każdym względem reprezentować do góry. Winien to być dobry fachowiec, zapobiegliwy gospodarz, posiadający powinien zmysł organizacyjny i mieć nastawienie społeczne.

Instruktorem gromadzkim musi być rolnik danej branży, który posiada swoje gospodarstwo w tej gromadzie. Jego indywidualne gospodarstwo winno mu służyć, jako wzór ogólnego postępu i rozwoju danej produkcji. Gospodarstwo to ma promieniować na całą wieś i być przykładem dla innych gospodarstw. Przez zgłębianie swojego indywidualnego gospodarstwa, instruktor ma możliwość rozwiązywania zagadnień wszystkich zrzeszonych członków.

Wokoło własnego warsztatu rolnego instruktor gromadzki dobiera swoje koło branżowe, które wywiera wpływ, zarówno swoją znajomością w prowadzeniu produkcji danej rośliny specjalnej jak i dobrane prowadzonym warsztatem rolnym.

Instruktor zaznajamia zrzeszonych członków z wynikami osiągniętymi w swoim gospodarstwie, wyjaśnia im jaką drogą doszedł do tych rezultatów oraz poucza, jak pewne zabiegi mogą być wprowadzone w życie.

Do obowiązków instruktora gromadzkiego należy stałe zaznajamianie swoich członków koła branżowego, jak winny być prowadzone księżki rachunkowe, jak również zaopatrywanie ich w jednakowe odmiany zbóż, nawozów sztucznych, materiałów pomocniczych i wreszcie wspólne przeprowadzanie zbiorów, a następnie i odstawa zebranych ziemiopłodów.

Opierając na tych zasadach pracę gromadzkiego koła zrzeszenia branżowego, sięgamy głęboko w potrzeby i możliwości poszczególnych warsztatów rolnych, organizujemy je planowo i konsekwentnie oraz stwarzamy im zdrowe warunki gospodarczego rozwoju i właściwy kierunek intensyfikacji produkcji warsztatów rolnych.

Tak zorganizowana przez Związek Samopomocy Chłopskiej praca ze wsią w zakresie organizacji gospodarstw wiejskich, stworzy z tej instytucji faktycznie jedyny związek zawodowy rolników, sięgający głęboko na teren wsi polskiej.

Strukturę organizacyjną zrzeszeń branżowych, omówimy w następnym numerze.

KOMUNIKAT

Z dniem 15 marca ustąpił z Komitetu Redakcyjnego „Wsi” ob. ob. Kałużyński Zygmunt, Lichański Stefan i Pięta Stanisław.

W OSTATNIM 13 (92) NUMERZE „WSI” z dnia 30 marca 1947 r.:

Konkurs na ankietę: „Moja droga do szkoły rolniczej i ze szkoły rolniczej do wsi”; Roman Szymanko — Kapitalizacja rolnictwa; Stanisław Cieślak — Obrót artykułami rolniczymi; Bronisław Majteczak — Dwie drogi; Stanisław Witowski — Z pamiętnika wiejskiego nauczyciela; Henryk Syska — Jakób Bojko; Stefan Stanisław Gębala — O Domu Ludowym; Józef Pogan — Smutna rzeczywistość; Marian Minias — Podstawy istnienia gminnych szkół rolniczych; Leonard Sobierajski — Gdy zostały złożone podpisy; Wiesław Jazdzynski — Czemu kręciła nosm; Fakty i zdania, komunikaty. 2 ilustracje. 8 stron.

TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

WYŻYNKA

Stron 205

Cena 250 zł.

NAKŁADEM KSIĘGARNI ŁOWICKIEJ

W Ł O W I C Z U

Jan Aleksander Król

DZIEJE „BARABASZA”

List otwarty do Józefa Ozgi — Michalskiego

1) SYN CHŁOPA-EKONOMA

Józku!

Chce Ci przedstawić sprawę Barabasza. Mielśmy o nim przez długie miesiące ustalona opinie. Dzielną zagończyk partyzancki, ale nam etalimy mu to, że batalion chłopów, kiedy wykradli zrzut angielski, przeznaczony dla dowództwa AK, kiedy wykradli go dla „jakichś — jak mówił — Batalionów Chłopskich”. Pamiętałem mu i to, że kiedy na Osieku wchodził z naszym sztabem w porożeniu co do wspólnych akcji „wielkich przeciw Niemcom odcinał się twardo od rozmów politycznych. Nie chciał się solidaryzować, nie chciał o tym gadać ani z Tozą, ani z mną ten, młodszy ze wspólnego gimnazjum kolega, ten chłopaki nrzeczci syn. W 45 roku nie ujawnił się. Wiedzieliśmy, że ukrywa się z uczucia podziemną AK, potem słuch o nim zaginął. Na kilku zjazdach wymieniał jego nazwisko. Służyło Ci, jako tragiczny wzór tego tytu partyzanta, który w walce z okupantem uparcie odcinał — jak za „chopnie” przesadziłeś — odcinał sobie drogę do nowej Polski.

Józku! Znam już dziś „dzieje Barabasza”. Nie kończą się z tym momentem, w którym Ty warknałeś „zniknął jak kamień w wodzie” i nie zaczynają się z echem pierwszych walk w puszczy świętokrzyskiej i hatrozenia chłopów w Oględowie i innych wsiach.

Postulował Barabasz pochodzi z Gnojna, ze wsi na podświętokrzyskim szlaku. Wiek należała do rzedu tych, które do ostatnich czasów nie wyplatały się z zależnością od dworu. Folwark był nie wielki, ale i obok wspaniałego pałacu w Chrobrzu, margrabiów Wielopolskich, dziś jeszcze można oglądać od samych murów zaczynająca się wieś — ścieżkami, chatynkami, brudną, bezdrożną. Tu się urodził Józef Morton. O dwa kroki od pałacowej bramki. Nie raz pewnie, wyroskiem będąc, przykładał do żelaznych pretów głowę, aż póki brytany nie odpedził malca, zostawiając w nim lek i nienawiść. Dlatego w pierwszej powieści „Sowidzie” serce ludzkie ukazał u niedarży wykołajonych ofiar systemu kapitalistycznego — mieszczkańskiego. To byli ci, którzy mu pomogli „wejść w naród”.

W rodzinnej wsi Barabasza punktem zętniczenia była sadzawka, gdzie piawiono dworskie i chłopskie konie, gdzie on sam taplał się z równieściami zdobywał świeższą i liszaję. W tej podworskiej wsi ojciec Barabasza uzyskał wyróżniający awans. Został ekonomem. Stało się to jeszcze przed urodzeniem się Barabasza. W pierwszych latach dzieciństwa podniesiono jego ojca do godności — rzadcy, a jeszcze później do tytułu administratora. Urości i starał się o to w oczach chłopów, ale w stosunku do dworu pozostało wszystko po staremu. Dziedzic mówił mu nadal „Michale”, a on „jaśnie panie”.

Pan administrator nosił „wydyty” tytuł. Barabasz w jednym z gimnazjalnych wierszy pisze wszak: „a drogami na Kielce lechał ojciec wozem, by zdażyć do czas odstawić kadzie z okowita, powiazane do dragów debowym powozem”.

Pan administrator sztukował budżet domowy wychowem gęsi, i prosił na swojej siedmio-morgówce. Ale już był przeszerogowany społecznie, już jego przyjaciółmi stał się młynarz, któremu zwierzał nadzieje i zamiary do 9-cioroga swoich dzieci. Mawiał zazwyczaj: „nie chce aby służyły jak ja u kogoś...”. Poczem tym gorliwie zabiegał około chlewa i kurmika. Dla małego Barabasza oznaczało to zwrot w życie. Zakazano mu chodzenia nad sadzawkę, bawienia się z folwarcznymi. Poślano sześciolatniego na plebanie, na naukę ministrantury. Przybyła mu w ten sposób trzecia reka do całowania. Dwie pierwsze należały do dziedzica i dziedziczki. Proboszcz był stary, świętecki, z nikim poza dworem nie utrzymywał stosunków. Mały Barabasz prawie zamieszkał na plebanii, służąc codziennie do rannego mszy, a w niedziele, przez cały dzień do sumy i niespór. Wraciał wtedy w komy do domu. Dawni towarzysze z nad sadzawki patrzyli nań z niemym podziwem i kiedy rozstępowali się, aby go przepuścić, dokonywał się jeszcze jeden uroczysty, choć świecki już obrzęd podziału społecznego.

W szkółce wiejskiej pozycja Barabasza została określona właśnie przez ten podział. Na akademiach kierownik szkoły tego ubierał w paradny strój Beliniaka i jemu powierzał deklamacje o ulanach, jemu powitał starostę. W tym czasie ojciec Barabasza rozszerzył krąg swoich przyjaciół: jest nim już i gorzelany i kierownik szkoły (pilsudecki). Tam przesiadywał mały Barabasz — a nawet — czysty teraz i układowy — przestępował prógi dworu, aby posłuchać pierwszego w okolicy radia. Było wiadome, że poidzie do gimnazjum. Zdażył jeszcze przeczytać „Robinsona Kruzoe” i „Chata wujka Toma”.

Poruszyły go obie książki. Ale tylko jedna z nich wyznaczała przyszłość. Nie była to „Chata wujka Toma”. Był nią angielski wzór człowieka na dobroku z epoki wczesno- kapitalistycznej. Robinson na wyspie jest sam, ale narzędziami z rozbitego okrętu (ze światła rosnącej cywilizacji technicznej) dorabia się wyłącznie dla siebie standardu życiowego, takiego wzór z Anglii zachował w pamięci. Książka ta przekonywała, jak wiele potrafi osiągnąć człowiek, sam... dla siebie. Mały Barabasz był już wówczas jak Robinson na wy-

spie — osamotniony. Do przeszłości należały wspólne z chłopakami jazdy na krze, do przeszłości — jak oni to czynili — z wiesem nych witek wierzbowych wyonanie niszcza lek i marsze przez wieś w tej wspólnej dziedzięcej orkiestrze.

Pojechał w r. 1930 na egzamin gimnazjalny do Kielc.

2) PIERWSZE LATA GIMNAZJALNE

Pierwsze miesiące w Kielcach przyniosła małemu Barabaszowi nie mało upokorzeń. Syn „administratora” w rodzinnym Gnojnie tu traktowany jest po prostu jako syn chłopski. Koleżdy mają teczek, skórzane tornistry, on książki owija w wiejską chustkę. Oni są dobrze ubrani i odżywieni, przyprowadzają ich rodzice lub służba, on mieszka u jakiegoś „przebiórzyca” na stacji o 8 Józkach w no-



Kapitan W.P. „Barabasz” (Marian Sołtyński)

koju. Ale z tego powodu wcale nie odmawia się w małym Barabaszowi wspomnienie „Chaty wujka Toma”. Był przecież w życie „nadany” — inaczej Józku, niż Ty: Twój ojciec, radykalny działacz ludowy, stwarzał inny klimat rodziny, niż jego ojciec, awansujący w tradycyjnym systemie społeczno-politycznym.

A nowe środowisko Kielce — Klerkwów, ów panas prowincjonalny — musiało go upewnić, że życie wymaga obcalowania wielu jeszcze nowych rak. Ze drabina awansu społecznego jest gotowa i niezmienna, że miare naszymi wartościami nadają oceny tych, którzy na jej szczeblach pełnią rolę sędziów i klasyfikatorów.

A „sędziowie” w Klerkwowie, należeli do tej samej hierarchii, której system urabiał małego Barabasza już na wsi. Miasto miało świetną przeszłość, nie miało przyszłości. Kierdy — jedna to z najstarszych rezydencji bi-skopich. Najstarsze miejsce popasu i targowiska w krainie leśno-rolniczej. Tedy kuncy angielscy przejeżdżający z końcem w XVIII, zdają relacje o Polsce, jako krainie lasów. Tedy, niewiele lat potem, Staszyc chce utworzyć drogę przemysłową. Ale mały Barabasz nie przybywa do miasta przemysłowego, nie przybywa do ośrodka dużego handlu. Miasto żyje ponad stan z tytułu wysokiej pozycji administracyjnej. Wojewódzkie urzędy, gimnazja, seminarium duchowne tworzą jego sztuczną nadbudowę bez gospodarczych podstaw. Miasto ma dlatego nadprodukcję inteligencji tego typu, dla którego Polska była wyłącznie „idealnym dobrem duchowym”. Urzędnicy cierpieli i bez zaniepokojenia administrowali majątkiem niedźnych zacończonych majątek, podatkami z „naturalnych” i nieopłacalnych gospodarów chłopskich i z urzywiejowanych dworów, milionami długów zalegających w kasach skarbowych. Księża i nauczyciele administrowali duszami, strzegąc wiernych i wychowanek przed „miazmatami wschodu”, przed „wicek-socialistami”, „gulajami” i „chamami”.

W latach niższego gimnazjum zasługiła na zanotowanie w życiorysie Barabasza trzy fakty. Pierwszy: z szerególnym zanilowaniem wczytywał się w Curwooda, Londona i Conrada. Była w tej lekturze przyroda, coś, co wiazalo się z jego dzieciństwem. Były przyrody, co psychologicznie tłumaczy okres 12-16 lat. Ale była również określonego rodzaju galeria bohaterów, nie „socializujacych” — samotnych wewnątrz. Jak u Lordona interesownych, zdobywczyn, na dobroku, przyszłych milionerów. Świt amerykańskiej, parweniuszowskiej prosperity. Jak u Conrada — bohaterów na służbie w wielkich armatoriów angielskiego, światowego kapitalizmu. Urzeczeni „honorem” zawodu, wiernością „służbie” hodują w sobie specyficzne osamotnienie. Nie gonia za udziałem w zysku i chłocodawców, ale z nie walczy z nimi na cele wyzyskiwanym przez tych armatoriów. Ich wierność „samemu sobie” jest tragiczną kartą w historii klasy inteligencji. Kiedy ona obiektywnie pełnia rolę kondotierów i pretorianów w systemie kapitalistycznym, subiektywnie wdziała w tej roli pole do zrealizowania absolutnych, formalnych wartości moralnych.

Drugi fakt: Barabasz czynnie wzywa się w harcerstwie. Bóg, ojczyzna, honor! Ideały te historycznie i społecznie nie są w związku sprzyjowane. Wyraźny natomiast jest „egulamin służby i awansowania, a Barabasz ma ambicje wyróżnienia się i przodowania.

Trzeci fakt: „Piłnie i chętnie poznawalem historie, taka, jaka mi podawano. To były dzieje mego narodu, rycerskiego Narodu”.

Czyż to wychowanie nie było wychowaniem do opóźnienia dziejowego? „Klasycy”, światowi cofali Barabasza do startu w epokę businessmana i gentlemana, spolszczony skauting angielski przesłał klasowy charakter stowarzyszenia młodzieży. W Anglii był to wszak ruch młodych gentlemanów, podejmujących krucjate weekendową. Polska, jako naród rycerski, nie była Polską współczesnych rybeków.

Józku, to opóźnienie historyczne w wychowaniu trzeba mieć na pamięci, aby zrozumieć Barabasza „apolityczność”. „Życie polityczne” — pisze — nie znalazłem właściwie tego pojęcia — to była sprawa starszych. Zresztą, polityką w tym czasie zajmowali się socialisty, a ja ich potrzebowałem w czambuł, bo potrzebowałem dyrektora gimnazjum”. Dyrektor był pilsudeckim, o marszałku mówił ze wzruszeniem, na Barabasza miał oko. Wyrzucił go za zdolności i za... rodowód. Droga Barabasza, wyznaczona mu przez oca, prowadziła wszak do asymilacji z góralnymi szlami społecznymi. Tak to gimnazjum imienia Żeromskiego miało stworzyć z chłopskich synów sanacyjnych naprawiaczy, tak to gimnazjum imienia St. Kostki miało chłopskich synów przygotować na plebanów, wyklinających Wiclarzy.

CHŁOPSKI CZY PAŃSKI „POWRÓT W LUD”?

W liceum zaczęliście pisać wiersze. Przed laty już ojciec Barabasza czuł się „administrator”, teraz syn, kiedy w wierszach wspomina dom rodzinny, „szlacheczkim” darczy go sentymentem. Tuteknie bzy pod oknem i sad oto ornamenty domu. Jeśli deszcz zacina, to od strony dworu, jeśli śnieżyce zawiały drogi to — w ciepłym pokoiu w gruncie czterech ścian — szczenięta na prugu, a w wawozie „ze strzelbą na jelenie słucha rogu Rafała”.

Działa równocześnie drugi wpływ — Skamandrycy — Tuwim i „kawalerski” Wierzyński. Młody Barabasz jest w sposób szczególny gotowy na skamandrycki witalizm. „Czuję to, że żyję tym życiem bez jutra jak ognik, zwodniczym”. To nie tylko liryczny głos 18-letniego dojrzewającego lat. To jest również głos Juliana Sorela z „Czerwone i czarne” Stadhala. Po zduszonej namiętności dla zdolnych Julianów ze wsi pozostawała we Francji układowa kariera pod sułannem albo muni-durem. Zawodowa doskonałość i społeczna lojalność wobec burbońskich IIII. Zatem — pustka życia.

Skamandrycy Barabasza rozgrzeszają. Wypielniają mu „dziś bez jutra”. Tak powstają



Czoło kolumny oddziału „Barabasz” lato 1944.

„Pieśni szaleńcze”, w których „śmiej — to demokracja”. Ten śmiech pozwolił mu w niepamięć puścić manifestację pierwszo-majową z 1937 r. w Kielcach, gdzie na bazarach, padł robotnik od kuli policjantów, Barabasz widział tego robotnika górującego nad tłumem. Słyszał pierwszy raz w życiu ochryplym głosem wykrzywane zdania o prawie ludu i wyzwisku kapitalizmu. Z gimnazjum o tym nie wiedział. A potem padły strzały, tłum rzucił się w ulice, pałki policjantów na głowach uciekających, plac opustoszał, został jeden zabity, dwóch rannych... Nawet utkwił mu w głowie na pewien czas ów wypadek, ale nie zmienił poglądów. W wierszach późniejszych, z mottem Wierzyńskiego („wivat trans wariata”) młodemu demokraci wraca humor: „krzycz, kiepski damni: łącz się proletariacie!”.

Nowy wpływ — Burek i Wiktor, frontem do wsi! Ten wpływ umiejętnie organizowała sanacja. Wszak czoraz częstsze były wypadki, że najzdolniejsi uczniowie okazywali się pochodzenia wiejskiego. Tak było i w Kielcach, w waszej klasie, Józku, nieprawdaż? Warto porównać deklarację „Wici” z 31 r. do deklaracji „Siewu” z 33 r. Pierwsza jest formułowana politycznie. Obstaie się w niej za modelem demokracji liberalnej, opartej na podstawie wolnych zrzeszeń, browiąc w ten sposób wsi przed faszystowską pół-dyktaturą. Podkreśla się odrębność środowiska wiejskiego, aby uprawomocnić samodzielne poczynania warstwy chłopskiej.

Deklaracja „Siewu” politycznie jest pusta, tzn. podporządkowana polityce ziemiancko-kapitalistycznego rządu. Przeciwnie natomiast „Wiciowa” w kulcie ludowości, „Rozpowszechnianie kultury wiejskiej we wszystkich jej dziedzinach, a w pierwszym rzędzie literatury, sztuki teatralnej, zdobnictwa i kultury życia codziennego” staje się tu zadaniem naczelnym. Jakiś—sanacja popierała „chłopskość”? Oczywiście, czerpała z półwiekowego doświadczenia ludomani, zaczynając od zasłużonego zbieracza pieśni i legend ludowych, Kolberga, który w r. 1870 wyrażał żal, że chłopci zostali wyrwani z „dotychczasowego żywota skupionego pod zamkiem lub dworkiem, jakoby piskłeta spod skrzydeł wspólnej macierzy”. Skutek zalesienia pańszczyzny był taki, jego zdaniem, że „nadał całemu obrazowi cechy osady pogodnej wprawdzie i zabiegłej, ale zarazem prozajcznej, pospolitej i wielce oko jednostajnością swą nużącej”. Do tradycji takiej ludomani nawiązywała sanacja, schlebając kulturalnemu konserwatyzmowi chłopskiemu, aby przez jego wzmoczenie podtrzymać zacofanie gospodarze i społeczno — polityczne wsi.

Odnowienie kultury ludowej miało „osiągnąć własny wysoki poziom, zgodnie z państwową racją stanu”, aby przygotować wieś „do zajęcia właściwego miejsca w państwie”.

Otóż państwowa racja stanu była antychłopska, bo ziemianka, bo kapitalistyczna. Propaganda „pawich piór”, „słowiańskich dożynek”, słowem „właziła w korzenie” w efekcie miała dać dobrowolne uznanie przez warstwę chłopską takiego miejsca w państwie, na jakie pielęgnowane w niej zapóźnienie cywilizacyjne pozwoliłoby, to znaczy uznanie miejsca nadal służebnego.

Barabasz „upijający się” myślą „powrotu w lud”, („na razie tylko głosił”) głosił to hasło, rozbudzony i kierowany inspiracjami sanacji, ściślej — ojca, który go oddał do wsi, gimnazjum, które wykładowo w nim potrzebę świadomej polityczności. W takim stanie rzeczy „duchowy powrót na wieś” nie wiele się różnił od podobnych powrotów ziemiańskich ideologów.

Sięgamy po klasyczny przykład. Oto miemiecznik: „Ziemiańska” z roku 1935 (Nr. 7) Kasztelanka pewna dowodzi tam: „kontakt z przyrodą przywraca człowiekowi jego pierwotny, prostoliniowy, spokojny światopogląd, wypaczony często i wytracony z równowagi przez materialistyczną cywilizację dzisiejszą...”.

Ludzie wsi mają w sobie święty spokój ziemi, jej ufnosć, poczucie lądu i umiaru... „Ody się leży w trawie z twardą zwróconą ku niebu w seną, skwarną ciszę południa, dziwnie maleją i błędna iawie wielkie i ważne zdarzenia... Osmielam się twierdzić, że nie jest godnym wsi, kto kocha ją tylko w słońcu i w lecie, a nie rozumie w listopadowy słotny dzień, kto nie umie zachłysnąć się radością wiosennego wiatru...”.

Pierwsze poznanie z morzem, pierwsza podróż w góry, to wrażeń niezapomniane... Dla ludzi, którzy naprawdę naprawde żyją z przyrodą, przyłot kosa, czy włgi jest — bez przesady — zdarzeniem ważniejszym, niż sensacyjne wiadomości z ostatniego wydania dzienników”.

Oto jeszcze jedna deklaracja ludomani, klasycznie ziemianka, klasycznie sanacyjna. Kasztelanka „spokojny” światopogląd wsi uzyska przez wysnakowanie po 1) wszelkich uroków przyrody, po 2) wegetacyjnego trybu życia chłopów. Deklaruje więcej sobie ważyć sennosć o południu w trawie, albo oglądanie włgi, niż największe wydarzenia, o jakichby domlosły pisma. To są sensacje, którymi poj się ta trzójnająca kasztelanka, mając folwark, pałac i konie do wyjazd, bogactwa właśnie „materialistycznej cywilizacji”. Dla tych wyrafinowanych kontaktów z przyrodą i wiesz winno zachować ten sam „święty spokój ziemi”.

„Święty spokój ziemi” dla ziemian z folwarku, z pozycji rządzących i „święty spokój ziemi” dla rządzących niedarży chłopów.

To był program nie tylko estetyczny, to był również program polityczny. Poezie wiejskie Barabasza ten właśnie program kształtuje.

„Chciałem płatk: śnieżyste na rękę zatrzymać”
 „O, wytarty ze śladów człowieczeństwa, chłopie!”
 „Stare, pobenedyktyńskie kościółki ruiny ciche, żelest strunykka: pacierz monotonna”
 „Nahcz, że się chłopie kochać „święty spokój ziemi!”

Kiedy przyjechał do Kielc W. Burck i Jan Wiktor „szaleliśmy” — notuje Barabasz językiem Wierzyńskiego, Dyrektor był grzeszcy i owacyiny. „Spacer przez wieś” nie mógł zaszkodzić jego wychowankom. Wzruszenia prelegendów miały te samą skazę czułościowej egzaltacji, co wzruszenia ich słuchaczy. W nowym wierszu Barabasza przybyła strofka:

„w uścisku rąk opuchłych — twarz z niedzy wyblakła
 „Wytarty ze śladów człowieczeństwa, chłopie!”

„Stare, pobenedyktyńskie kościółki ruiny ciche, żelest strunykka: pacierz monotonna”
 „Nahcz, że się chłopie kochać „święty spokój ziemi!”

Ucałował i przeszło mu. Nie przeszło jednak „przeróżenie”, jakie Ty w nim wywoływałeś Józku, swymi poglądami, choć z jednej czerpałście beczki. Pisałeś gwara, nosiłeś się z chłopską, w laniej koszuli. Te estetyczne elementy kultury chłopskiej były dla niego zbyt serio. Wychodziły z terenu i manifestowały groźnie przeciw wytwornemu upajaniu się wsią. Według Barabasa Tyś, „już wtedy mówił jak rewolucjonista”. Cytuję z jego pamiętnika: „Gloryfikował Jakuba Szele — tego, w którym ja widziałem uosobienie bandytyzmu i zdziwienia. Nie zbliżałem się do Ozi. Ja byłem lojalistą. Szanowałem władzę, porządek i stan istniejący. Byłem zawsze karny i zdyscyplinowany, bez skłonności do analizy poczyniań starszych”.

To są ostatnie miesiące przed maturą. Barabasz odbył w ciągu ośmiu lat drogę, jakiej nie przewidział Żeromski. Radek stał się Borowiczem. Ale dla pełnego obrazu trzeba dodać, że w tej drugiej licealnej Tyś terminował u Ignara, który wówczas obok Drzewieckiego reprezentował radykalną lewicę wiciową. Pisywał pod pseudonimem do „Wici”. Trzech kolegów aresztowano za „komunizm”, owszem była taka ideowa, oderwana komórka, obradująca nad smętą Siłnicą. Była i pułkownikowska grupa. Herbowe syny wyższych oficerów, był i taki, któremu prezydent potwierdził rodowód księży z XVI wieku. Objęliśmy zatem: od komunistów Barabasz — lojalista (syn administratora — chłopca) trzymał się zdala, od Ciebie — rewolucjonisty, również. Czyż nie był zatem skazany na zbliżenie do „pułkowników”? A raczej do ich legendy i politycznego reżimu, bo oni sami, bo co najmniej, niektórzy z nich, odbili z drogi na jaką pchała ich tradycja macierzystego środowiska.

4. WOJNA — OWOCE „LOJALIZMU”

Po maturze idzie Barabasz na ochotnika do podchorążówki. W pułku umiał „utrzymać ten konieczny dystans między strzelcem a kandydatem na oficera”. Prosto z podchorążówki na wojnę. Wisła, Bug spowrotem pod Zamość. W bitwach zostaje odznaczony Krzyżem Walecznych. Potem... tamie broń. Transport, ucieczka i powrót pod Kielce. „Kleski nie mogłem pojąć przez długie lata okupacji”. Jak ja mógł, Józku, zrozumieć, ten „apolityczny” oficer? Uwaga się nadał za oficera w czynnej służbie. „nikt mnie nie zdemobilizował”. 11 listopada 1939 r. przyjmuje pierwszą przysięgę od zwerbowanych konspiratorów, ale szuka kontaktu z kimś autorytatywnym. „kto swą powagą pokryłby naszą robotę”. Kontakt łapie — jest „szczęśliwy”.

A potem — kolportaż z Warszawy na Okręg Wsypa. Teraz z Warszawy na Wrocław i Opole. Siad w wioszczowskie — redaguje gazetkę Sandomierskie — szkolenie, dotowanie szpicłów.

W marcu 1943 r. z rozkazu formuje oddział 20 ludzi. Pod koniec roku ma 50 ludzi, jest już sławny w okolicy. Skład oddziału? Przeważnie inteligencja. Paru socjalistów, paru „pałkarzy” — ogół to chłopcy wprost z gimnazjum „dla których rozkaz był celem i metodą. To było naturalne. To była ciągłość naszego wychowania”. Pokolenie urodzone w dniach „cudu nad Wisłą”. Oddział „apolityczny”, dyskusje rzadkie i bez przekonań.

Ale przecież podlegali apolitycznie dowództwu wojskowemu, ono „rządowi”, a rząd siał w konspirację i partyzantkę swoje wyznaczenie wiary. „Orka” kwiecień 42 r. — wyprawiamy się w zasadzie za utrzymaniem prywatnej własności środków produkcji i dążyć będziemy do jej ochrony”. „Przez walkę do zwycięstwa” 20.10.43 r. „Armia Ludowa to rosyjska dywersja w Polsce. Udział Polaka w politycznej lub wojskowej dywersji na rzecz Rosji byłby zdradą narodu i państwa polskiego, podobnie jak zdradą była i jest akcja volksdeutscheń”.

Barabasz pisze: „Zajęci byliśmy tylko walką. Sprawę propagandy zostawiałem odpowiednim czynnikom”. Ale znaczy to tylko, że w szczeliny postojów wdzieraly się wieści w najmniejszym stopniu nie kontrolowane. Przekonani o własnej apolityczności, politycznieli do gruntu.

Wiosna 1944 roku odbiór pierwszego zrzutu. Skoczyli ludzie. Dowódca ekipy ucałował ziemię i zdławionym głosem powiedział: „Wczoraj widziałem się z Naczelnym Wodzem, przesyła Wam żołnierskie pozdrowienia”. Dostali broń, pieniądze, instruktorów. „A najważniejsze — to był symbol. Z Londynu oczekiwaliśmy sygnału”. Otóż ten Londyn nie był w ich wyobrażeniu wypełniony tylko rzeczowymi i formalnymi treściami wojskowymi. Przeciwnie, owe propagandowe, bokiem chwytane ulamki, one to tworzyły ów zasadniczy mit Polski, któremu oddawali się w niepodzielna władzę.

Jak to był mit? Oglądajmy go w związku z Barabaszem. Pisze on: „Kontaktu duchowego ze wsią nie miałem, choć bparcie mieliśmy właściwie tylko na wsi. Współzycie ze wsią było powierzchowne. Zajmowaliśmy kwatery a co myślała ludność miejscowa, to nas nie interesowało”.

Ziemiańska polska w r 1935 również nie interesowała się tym, co myśli wieś, szukała estetycznych przeżyć, dla nasycenia których brała ze wsi „święty spokój ziemi”!

Barabasz otrzymuje rozkaz odebrania „za wszelką cenę” broni zamkniętej ze zrzutu londyńskiego, która zbrojna grupa chłopska wykradła. Rozkaz! Za nie wypełnienie rozkazu rozstrzelany winnych we własnym oddziale. Trafia na ślad. Spotyka na opór. Batoży jed-

ną wieś, druga, trzecią. W czwartej, w Ogledowie, przyjmuje go ogień z karabinów maszynowych. Batożenie przerwane. Barabasz wycofuje poszczerbiony w ludziach oddział. W połowym notatniku zapisuje: „Nie byłem kacykiem — nie mściłem się. Ale ludność zraziłem do siebie”. Oto wióry z gimnazjalnego hasła „powrotu w lud”.

Co dla ziemiańki było przyjemne, winno być przyjemne i dla chłopca. Co zarządziło dowództwo AK, winno być świętością dla wsi. Ale ta armia miała być zbrojnym ramieniem Polski, która gwarantowała prywatną własność ziemiaństwu i kapitalistom w 42 r., która w 43 r. przysłała parlamentowi powierzała rozstrzygnięcie przejęcia ziemi i przedsiębiorstw za odszkodowaniem, czy bez. To była Polska odnawiająca jak w latach 18 — 25 obłudną gre ustępstw przy nieprzerwanej walce z ludem, Barabasz entuzjasta „powrotu w lud” wszedł w bratobójczą z nim walkę w imię rozkazu, w imię wierności służbie. Zraził wieś — ale „nie dbałem wtedy o to. Nie liczyłem na wojnę ideologiczną”.

Jakże miał liczyć ten partyzant — chłop, kontaktu duchowego ze wsią nie mając od lat? Po drugiej stronie został organizator zamachu na zrzut Aleksander Liszaj, sprzątnięty konsekwentnie przez nowy rozkaz i innego wykonawcę. Tak to Barabaszm zostawały w ręku elementy z planu realizowanego „za wszelką cenę”. Wstrząsy, które przechodził, nie odsłaniały im całej prawdy, a tylko niepokoiły, tym bardziej każąc oglądać się na „sygnały z Londynu”.

Barabasz jest żołnierzem walczącej Polski. Tak określone stanowisko zawiera w sobie nie tylko treść bojową, również — ideologiczną. Wyraża się w nim odwołanie na później decyzji społecznych ale i wymuszenie na własnym ośrodku dyspozycyjnym przede wszystkim walki o wierność. W stosunku do obu stron to samo — ograniczyć szanse działania politycznego na rzecz zbrojnego z okupantem. O tyle Barabasz wyróżnia się wśród dowódców partyzantki. Odwieka społeczny problem Polski. Nie jest dlatego najlepszym narzędziem w rękach patronów politycznych. Zbyt serio bierze do serca hasło — „hić się”. — W jego sytuacji — zagrożenictwa, nie wywiadownicy, osiągnięcia nie pogłębiają zależności osobistej od obozu, któremu służy. Przeciwnie, Barabasz mający na swoim koncie 28 większych potyczek z Niemcami (w dwóch padło 100 i 200

Niemców) „emancypuje się” w opinii władz, dostaje dlatego wraz z Krzyżem Walecznych (po raz drugi) aniola stróża. Ale czas jest gorący i anioł stróż bardziej interesuje się ocaleniem własnej skóry.

Nowy wstrząs. Barabasz styka się z naszą „Brygadą Grunwald”. Najpierw zrzut oficerów polskich z Berdyczowa. Potem doszłowanie oddziałów AL-u i BCh. Zrzuty broni. Barabasz notuje: „rozrośli się w siłę”. Rzeczywiście, w parotyczną siłę. Dowódca wojskowy stamtąd, dowódca polityczni stąd. Barabasz — żołnierz współpracuje z nami bojowo. Wypożycza od nas ciężkie karabiny maszynowe z obsługą, materiał wybuchowy. Staje do wspólnych zasadzek. „Ale w zadaniowych punktach różnił się. Ja miałem swoich przełożonych, a ich — mówili mi wprost. Rosja przysłała”. Czy i to stanowisko było czysto wojskowe? Czyż w nim nie odzywa się echo zarządzenia „Udział Polaka w politycznej lub wojskowej dywersji na rzecz Rosji byłby zdradą narodu i państwa polskiego”? Czytał je Barabasz z końcem 43 r. Życie w kraju miało swój bieg. Latem 44 roku został już zdrajca z paragrafu wojskowego. W stosunku do paragrafu politycznego był jeszcze w porządku. „Ja lojalista nie mogłem pojąć tych spraw. Trudno zmienić poglądy nabyte w ciągu dwudziestu kilku lat”.

A potem, potem rozkaz z akcji „Burza”. Koncentracja na Warszawie. Wielkie marsze o 30—40 km od frontu. Spotkania z innymi oddziałami. Partyzancki front ruchomy. Masa pewnia o słuszności ideowej. Wielkie wznieślenie duchowe tuż przed załamaniem. Marsz wstrzymany — „zapóźno!” Spowrotem do punktów. 79 godzin odwrotu bez posiłku. Rosnący niepokój. „Stamtąd oczekiwałem rozwiązań, które nigdy nie nadeszło. Musiałem teraz myśleć sami, a dotąd tylko słuchałem, doskonale wykonując zleczone zadania”. Wreszcie przyszedł rozkaz rozwiązujący Armię Krajową: „Każdy dla siebie niech będzie dowódcą, a motywem hostepowania: dobro Polski”. Czytałem to i nie wierzyłem, któryś z kolegów wybuchnął płaczem. Taki moment przeżywałem już raz w życiu. Było to pod Zamościem w 1939 roku. Historia znów przetoczyła się po nas. Już wtedy byliśmy epigonami dziejów”.

„Każdy dla siebie dowódca, motywem hostepowania: dobro Polski”. Ale przecież w ciągu tych kilku lat „dobro Polski” zostało

określone Barabaszm. Formuła była mętna i dwuznaczna. Na Barabaszm przysły najcięższe terminy. Dano im wolną rękę, ale nie odwołano mętów, w jakie ich zakłeto. Został wieni sobie, rozumieli, że apeluje się do ich honoru, do rozstrzygnięcia, dobrowolnej próby wierności..

„A przecież było więcej. Co mnie różniło z takim Łokietkiem, Broniczem czy Wiśliczem? Chyba tylko znaki”.

5. „Z LUDEM W NARÓD”

Pierwsze miesiące 45 roku — pamiętasz Józku, Lewica nie ufa. A dowódcy oddziałów Armii Krajowej przeżywają tragiczne rozdarcie. Jeszcze nie odnawia się podziemie AK, ale Barabasz sam siebie stawia poza nowym prawem. „To była konsekwencja zdrzeń. Życie przewalało się wciąż nad nami. Nowe instytucje, nieznanne, obce — nowe kategorie”.

Tyś, wtedy, Józku, pomstował na Barabasa — to była logika działania po naszej stronie. A Barabasa wówczas — ukrytego — walila z nog nowa oszalamiająca sytuacja — to była logika rzeczy po tamtej stronie. Czy wiesz, że na wieść o przybyciu Mikołajczyka, wyjeżdża do Warszawy. Jest jednym z tego tłumy, który witał szefa Rządu Londyńskiego. Przywiodła go tu ostateczna prostracja. Za ostatnie pieniądze kupuje kwiaty i rzęca w pobliże „Sygnału z Londynu” Dlaczego to czyni? Z entuzjazmu, ze wzmożonej pewności? Nie! Te kwiaty to — zakłęcie! Od Ciebie dostawałiśmy zrzuty. Coś z nami zrobili? Wytlumacz? Co mamy czynić? Buduj most! Nie igraj naszym „honorom”. Honor był jasny, kiedyśmy nie widzieli nowej rzeczywistości. Ale teraz..

Barabasz w ciągu pół roku nowej Polski myślał. Musiał myśleć. Rozmawiał. „Lewica doszła do władzy. Nie doszliśmy my. Mają władzę i rządza. Nie są klepskami gospodarzami. No więc po co walka z nimi?” I dlatego pierwszy raz w życiu zachował się nie po żołniersku. Kiedy w lipcu polecono mu rozbić wiezienie w Kielcach — odmówił wykonania rozkazu.

Szukał go w tych tygodniach na Śląsku. Urodził mu się syn. Nosi go całymimi dżami na rekach, cieszy się żoną. To też nowa rzeczywistość. Górnicy ruszyli właśnie kopanie. Kiedy się Barabasz rodził, tego ojciec wiedział, kim zostanie syn. Na los dziecka miała wpłynąć rodzinną pozycją ojca — administratora u „jaśnie pana”. Barabasz wnatrujac się w synka nie wiedział czego dla niego pragnąć. Ale rozdził mu się wtedy, kiedy górnicy ruszyli po raz pierwszy uspołecznione kopanie.

Józku, tu jeszcze nie koniec opowieści. Sprawa Barabasa to nie wskłanie w nową rzeczywistość, nie rozpuszczenie się w niej. Co powiesz, zostawia dziecko i żonę. Zbiega za granicę. Korzysta z etapów, przez które płynie murt „dziełów Anny”, andersowskiego i angielskiego wywiadu murt odnowionego podziemia. Dobiła do Paryża. Przyjmuję go w Misji Wojskowej kpt. hr. Ledóchowski, w otoczeniu również hrabiów.

- Wasz stopień?
- Kapitan Barabasz —
- Chodź mi o przedwojenny stopień.
- Podchorąży kapral.

Tak zapisuje. Barabasa to osobście nie boli, ale widzi problem. Oto wazyła się i taka gra. Czyja miała być większa sława: żołnierzy z Zachodu, czy partyzantów z Kraju? „Broń u nogi”, to ubezpieczenie przed własną Armią Krajową. Kraj był w rachunku, jako przedmiot, nie jako podmiot.

Dalsze pytanie — po co robiliście powstanie warszawskie?

— Jako — to my byliśmy wykonawcami czyjś decyzji. Ona powstała przecież tu, po waszej stronie.

Teraz Barabasz pyta. — Dajcie mi ocenę sytuacji na czas na jaki Was stać. W kraju są ludzie, którzy w was widzą jeszcze symbol, ale oni żyją w nowych warunkach, a wy tu w wygodnej pozycji wymierającej emigracji. Czy chcecie mieć ludzi z kraju nadal na sumieniu? Albo oddzielcie się zupełnie od wpływu na kraj, albo przyznajcie się do kompromitacji na całej linii.

Ocena hr. Ledóchowskiego była następująca. Wszedł służbowy — „wyprowadzić podchorążego kaprala”!

Jedzie do Londynu. Rozmawia z pułkownikiem. On by też chętnie wrócił — ale jeszcze poczeka. Po coście tu przyjechał? Wszyscy tu maniw dość swoich kłopotów.

- A kraj?
- No przecież macie wolność..

W „prywatnym” Londynie rozkład. Czyta pisma. Ale frazeologia o zaprzędaniu się Rosji jakże ma chwycić tego człowieka z kraju. Ma wreszcie pełną odpowiedź „my, z podziemia okupacyjnego, dla nich tu nie istniejemy, jako palacy problem”.

Wraca śpiesznie do kraju. „Wiele, bardzo wiele jest jeszcze niedoścignięt. Ale ja widzę treść — fragmenty, nie rozstrzygnięta”. Ujawnia się. Wojsko Polskie przyjmuje go do służby czynnej. Przez kilka miesięcy Barabasz wyprowadza swoich dalszych i bliższych z podziemia.

A pierwsze kroki na ziemi polskiej skierował na cmentarz, do nich — poległych roważysz. „Za coś ty się o mój bracie bił?” Z cmentarza widać wieś. Umarli przyjaciele, w historii może aż taka cena płaci się od „ależenie „powrotu w lud”.

Jan Aleksander Król

Zygmunt Sierp

POKÓJ WAM

Pokój wam —
gdy wyjdzie odwracać ziemię oracz
i robotnik rozwieszać wysokie dymy jak sztandar,
gdy ręce się tęczą zakotwicza
i usta zamkną słowa palące jak skandal.

Pokój wam —
gdy mgła atomu rosą osiadzie na serecach
rozproszonych wiatrami zabłąkanych żagli
i gdy oczy dojrzą wycieczkę żurawi,
których tylko traw zieleń południowych nagli.

Pokój wam —
jeśli przestaną dzwonić zębami słupnicy
wpatrzeni obojętnie w chustę Weroniki,
których śpiew rozległy nutą utkwil w szpikach
nurzając zimne echo w świece mdławe płomyki.

Pokój wam —
jeśli zobaczycie kłaniające się gwiazdy
w wielkich wodach wiszących na głębiach —
gdy gwiazdy się morzem — ziarno ziemią zasieje,
jeśli Chrystus miast chustę — dostrzeże gołębia.

BALLADA

Na jarmarku w osadzie
słońce depczą w kałużach,
stary Wojciech zamienia
małą krowę na dużą.

Lata rogłem wymierza,
zył sto mlecznych wymacał,
a tej dużej wymawiał,
że zmyliła rogacza.

Słowo w słowo jak ułal,
targu dobił po żyte,
klnąc się Bogiem i diabłem
tak jarmarcznie, przymilnie.

Żąślad z Wólki doradzał,
że, gdy w dworskim przypasie
wiadro mlekiem się spieniał
i drzwi biedzie przytrzaśnie.

Już ją wiazał wprost okien,
łykiem wódki się krzepił,
gdy wtem dzwonek spod fary
piekło w oczy mu wlepił.

A w tych oczach ksiądz w komży
gaś ogień kropidłem,
a w te piersi pięć dzwoni
flukąc boleść obrzydłą.

W tych oczach tak gore
niby lipiec poszyciem —
chłopska droga się krwawi
piekłem, mlekiem, powiciem.

Więc też nocą przy moście
diabeł drogę okraczył —
aż go wroni krzyk zbudził,
ranny wiwat oraczy.

Mieczysław Grad

Postęp w sztuce postępem - społecznym

Pytanie sformułowane w ankiecie przeprowadzonej ostatnio przez redakcję „Wsi” brzmiało: **jakiej powieści chce dziś siejsza wieś?** Należałoby rozumieć (zauważył to trafnie w swej wypowiedzi ob. Marian Cieślak z Poznania) **jakiej powieści wieś chce subiektywnie, a nie jakiej potrzebuje obiektywnie.**

Bo gdyby organizatorom ankiety chodziło o obiektywne potrzeby literackie wsi, mogliby je z gruba ustalić i bez ankiety. Można było bowiem wyciągnąć wnioski z analizy społeczno-gospodarczych, politycznych, kulturalnych i innych przemian zachodzących współcześnie na wsi, można było sięgnąć do danych statystycznych w dziedzinie oświaty szkolnej i pozaszkolnej, bibliotek itp. instytucji. Tymczasem w ankiecie chodziło, zdaje się o to, by czytelnicy więcej mieli możność ujawnić swoje literackie życzenia.

Ale jeżeli tak, to sposób przeprowadzenia ankiety nasuwać by powinien poważne wątpliwości. Prosta rzecz — chodzi o reprezentatywność uczestników ankiety.

Jak wiadomo, na wsi żyją rozmaici ludzie, różne są ich życzenia i gusta. Ba, gdyby tylko różne. W tym sensie, że sprzeczne. Bo na pojęcie wsi w sensie socjologicznym składają się różnorakie treści. Łatwo przytoczyć z miejsca różnice cywilizacyjne, wieku, świadomości i cały legion innych.

Czyżże więc głos byłby tu najbardziej miarodajny? Oczywiście ani tych, którzy schodzą do grobu, ani tych, których pochłania całkowicie konserwatywne przetwarzanie przeszłości.

Miarodajny byłby chyba głos tej grupy, która w społecznym życiu wsi stanowi element świadomy, dynamiczny, twórczy i młody. A więc młodzież zorganizowanej w „Wielach”.

Gdybyśmy więc uzyskali masowe wypowiedzi młodzieży wiejskiej, co jest całkowicie realne i wykonalne w oparciu o aparat organizacyjny ZMW RP „Wici”, gdyby jeszcze każda z indywidualnych wypowiedzi zaopatrzona była w krótką informację autobiograficzną, to po odpowiedniej klasyfikacji i analizie moglibyśmy dopiero orzec, że wieś chce powieści takiej to a takiej. Obawiam się, że w epoce atomowej, otwierającej perspektywę podróży międzyplanetarnych — chałupnicze metody takich poważnych ankiet nie bardzo są „adekwatne”.

Inna rzecz, że nawet wypowiedzi uzyskane w sposób bardziej nowoczesny — nie mogłyby być jeszcze miarodajne wprost. Gdy np. okazało się, że wieś w przynależącej swej większości chce czegoś w rodzaju „Trędowatej”, to z tego wcale by nie wynikało, że dla zrealizowania owego „zamówienia społecznego” pisarze winni tworzyć na obraz i podobieństwo Mniszkówny. Z tego by dopiero wynikało, że subiektywne zapotrzebowanie literackie wsi jest takiego, a nie innego gatunku. A okoliczność, że do czytelników wiejskich dotarła akurat Mniszkówna nie świadczy jeszcze o właściwości zaspokojenia przez nią określonych potrzeb. Mniszkówna (i nie tylko ona) winna być traktowana jako „papiererek lakmusowy”. Subiektywne potrzeby literackie wsi, zaspokajane dotąd w części przez nią, mogą być na przyszłość zaspokajane, właśnie w tej „Trędowatej” dziedzinie, lepiej przez kogo innego. Lepiej rozumie się, w sensie artystycznym i społecznym.

To, że dotychczas w rękach czytelnika wiejskiego są książki takie, a nie inne, i że niektóre z nich zdołały oświecić umysły, nie świadczy absolutnie, że właśnie dla czytelnika wiejskiego „są pisane”.

Chyba nie przypadkowo pomysł urządzenia ankiety przyszedł do „głowy” Redakcji „Wsi”. Tak samo chyba nie przypadkowo w krajowych i zagranicznych czasopiśmie społeczno-literackich toczy się namilętna dyskusja o tzw. realizmie. A sprawy te wzajemnie się zająwiają. Po wiem więc — pierwsza jest fragmentem drugiej.

Nie ma bowiem zagadnień literatury chłopskiej, które by nie były zagadnieniami literatury. Literatura jest jedna i nie dzieli się na jakies takie sektory czy klasy, w których miałyby obowiązywać różne miary i wymogi. Istnieje natomiast sprawa właściwego rzutowania stanowisk ogólnoliterackich na różne sytuacje tematyczne czy środowiskowe. Sprawa stosowania ogólnoliterackich stanowisk w dziedzinach dotąd egzotycznych lub słabo uczęszczanych. Ale trzeba sobie zdawać sprawę z tego, co się chce rzutować i stosować. To też sądzę, że jakiegokolwiek porządkowanie myśli w ramach ankiety „jakiej powieści chce dziś siejsza wieś” musi się odbywać w ramach szerszych: „jakiej chcemy dzisiaj powieści”.

Skąd się biorą owe pretensje i żądania pod adresem literatury? Skąd wołania o jakiś nowy, współczesny „realizm”? Wynikają one z odczuwania dysproporcji pomiędzy literaturą i życiem społecznym. No bo jakżeż! — Była wielka wojna, jest wielka przebudowa, na widownię wkraczają nowe, uciemnione dotąd warstwy społeczne. Wypadałoby, ażeby i w literaturze zaznaczyło się to w jakiś godny sposób, skoro rozwija się ona w określonym środowisku społeczno-historycznym i nie jest zamknięta w więzy z kości słoniowej. Ażeby i literatura nadążała jakos za gigantycznością epoki. Lecz literatura, jak twierdzą społecznicy, nie bardzo jest zdolna wchłonąć w siebie potęgę tłoczonych się

zdarzeń. No i trudna jest sprawa najważniejsza: na czym polegać ma to „jakos”.

Cisną się wątpliwości, czy dotychczasowe środki i kategorie za pomocą których dokonywał się literacki uchwyt rzeczywistości — są wystarczające, stosowne, adekwatne w stosunku do epoki. Nesuwają się myśli, że przebudowa rzeczywistości społecznej żąda przebudowy kategorii literackich. Tylko nie wiadomo, jakiej przebudowy.

Spółcześni a zwłaszcza politycy i moralisci mają skłonności wysuwać pod adresem literatury żądania wygórowane. Chcieliby widzieć w niej tylko narzędzie przebudowy społeczno-moralnej. Narzędzie, oczywiście w ich ręku.

Tymczasem literatura, jeśli odrabia pewne „służebności”, czyni to nie wprost. Literatura, oczywiście, przebudowuje, ale w pewien specyficzny, jej właściwy sposób.

Dlatego polityk i moralista, jeśli chcą zabierać głos w sprawach literackich, winni przekroczyć ów próg, który oddziela literaturę od reszty rzeczywistości. I swoje postulaty winni formułować w języku obowiązującym na obszarach sztuki.

Każda dziedzina życia podlega prawom rozwoju. W każdej chcemy być postępowi. Jeżeli więc ktoś uważa, że postęp w jednej dziedzinie uwarunkowany jest zahamowaniem postępu w innej — myli się na pewno.

Jeżeli więc ze stanowiska społeczno-politycznego wysuwamy żądania pod adresem literatury, obowiązuje nas zasada: nie wolno w imię postępu politycznego żądać ureakcyjnienia literatury. Ureakcyjnienia, to znaczy: uwiecznienia w dziedzinie artystycznej. Bo postęp i reakcja w sztuce mierzą się w kategoriach sztuki.

Możliwości rozwojowe literatury są różnorodne, wszechstronne i wielopłaszczyznowe. Wielopłaszczyznowe są możliwości literackiego postępu. To też społecznicy, jeśli mają coś do powiedzenia pod adresem literatury, nie mogą ograniczać się do prostego zgłaszania „zapotrzebowania”, dezawuuując wszystko to, co w ich bieżącej działalności nie jest bezpośrednio przydatne. Uzurpując sobie prawa, winni się poczuwać także do obowiązków.

Jednym z głównych obowiązków społecznika jest ukazywać te możliwości literackiego postępu, które w sposób dla niego (społecznika) widoczny leżą na linii postępu społecznego. Podkreślam — „w sposób dla niego widoczny”, bo chyba wszelki postęp w dziedzinie sztuki, niezależnie od tego, czy jest dla społecznika — laika w sprawach sztuki — widoczny, jest działaniem, współczynnikami i objawem postępu społecznego. Wyrazem postępu społecznego jest zarówno twórczość Władysława Broniewskiego, jak Juliana Przybosa, zarówno Józefa Ozgi - Michalskiego, jak Jana Bolesława Ożoga.

Myślę, że sprawa niektórych możliwości postępu literatury wiąże się z ankietą „Jakiej powieści chce dziś siejsza wieś” i wymaga gruntownego przedyskutowania.

Anna Kamińska

Rozdroże krytyki poezji ludowej

W grudniowym numerze miesięcznika „Wiś i Państwo” Józef Spytkowski w artykule pt. „Rozdroże stylu ludowego” czyni zarzut poetom ludowym z tego, że nie są ludowi. Omawiając jednak ostatnie wydawnictwa poetyckie Kubisza, Fraska i Ożoga — recenzent nie decyduje się na żadne z określeń piarstwa ludowego, jakie padają bądź to w rozprawach Koniańskiego i Pięgonia, bądź w dyskusji prowadzonej w naszym piśmie w związku z powstaniem Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Lit. Pol.

Według ogólnej opinii poeci: Kubisz, Frask i Ożóg przynależą do grupy pisarzy ludowych — oto zdanie słuszne, bo rzeczywistość nawet bez względu na ogólną opinie wymienienia poeci należą do grupy pisarzy chłopskich zorganizowanej w Oddziale Wiejskim Związku Literatów. Dalej: „wobec tego ich zbiorki winnyby reprezentować współczesną literaturę chłopską. Niestety, kto się bliżej znajomi z ich twórczością, łatwo zauważy w niej brak zasadniczej cechy: chłopskiego stylu widzenia rzeczy!”

Tu okazuje się, jak wiele nieporozumień wynika z braku jasnego metodologicznego założenia w stosunku do przedmiotu.

„Pisarze ludowi to tacy, którzy pochodzą z ludu”. W tym znaczeniu omawiani pisarze

są pisarzami ludowymi, ale są też przecież pisarze chłopskiego pochodzenia, którzy nie pragną się nazywać ludowymi. Nie dlatego, aby się wstydzili swego pochodzenia i byli zdradcami sprawy, ale po prostu ich sprawy są inne. Przybós nie jest poeta ludowym.

„Pisarze ludowi” to twórcy obdarzeni „chłopskim stylem widzenia rzeczy”. Ale oczywiście „naloł programów nowoczesnych szkół literackich” odbiera poetom chłopskim ów dar chłopskości. Nie usiłują go zatrzymać, bo nawet jeśli jest on czymś realnym w granicach obecnej kultury wsi, traci wszelką przydatność poza nim.

„Pisarz ludowy to literat piszący dla ludu”. A jednak poetów tych cechuje nowoczesna komplikacja środków poetyckich, ich utwory nie są dostępne nieprzygotowanemu czytelnikowi poezji.

„Pisarz ludowy to ideolog wiejski piszący o ważnych i aktualnych sprawach wsi i chłopów”. A tu znówu często subtelny liryzm, sentyment wysublimowany w dekoracji pejzażu wiejskiego.

„Pisarz ludowy to członek grupy literackiej połączonej idea nową kulturą ludową”. Może to dzięki temu określeniu utarła się ta „ogólna opinia”, że Kubisz, Frask i Ożóg są poetami ludowymi.

Jan Bolesław Ożóg

WIOSNA LEŚNA

Toczy się lasem księża bryczka.

W lesie u dróżki krzak kaliny,
śniętyście tli wisienna wiecha
jak odchylona w śnie spódniczka.

I z ziemi w gwiazdę wbity nóż.
Jak lepko wiśnie i maśliny
do usi się chyłą pełną czarką.

Chwyta się za pierś zbłądły klecha,
kobyły trcą białoleśnie.

W zefirze od bałtyckich mórz
ipi z dzbankiem jagodziarka,
całuje sobie zbója we śnie.

To tylko wiosna, wiosna, las,
czeremchy, kalina — dziwożona.

Wóz tnie korzenie, dzwonią dzwona.

*

Wszystka wiosna szumi na dębie,
poziłocście lamią się wiatry
z nieobciętej z cyny osłki,
niosa z boru panny na dzbankach
niebo z lazurowych paszków,
leca, leca na skos gołębie,
a wywiliگی dmuchają w flety:
Hulaj księżu, czarna muzyko!..

Niezdecydowane stanowisko Spytkowskiego wobec ujęcia nowoczesnego piarstwa ludowego ułatwia dyskusję z jego wypowiedzią, ponieważ wprowadza w nią wyraźne pomieszczenie pojęć. Nie jest jednak sprawą tak lekką, aby dała się obrócić, czy choćby sformułować w notatce. Pisarze ludowi powinni się rzeczywiście zmobilizować w obronę swego stanowiska, w obronie swej ideologii kultury, która z różnych stron starają się podważyć właśnie ludomani argumentem rzekomej ludowości.

Niemniej zarzut nieczytelności stawiany wielu poetom chłopskim jest zarzutem poważnym. Jest to zagadnienie aktualne w najszerszym wymiarze społecznym.

A jednak okazuje się, że Józef Spytkowski nie wyraża stanowiska „Wsi i Państwa” skoro w następnym zeszyście znajdujemy zupełnie odmienny pogląd na sprawę. Wprawdzie Kazimierz Kamiński pisze tam tylko o „wsi jako odbiorcy literatury”, ale uważa twórczość wiejską literacką za jedną z form percepcji literatury ogólnej, pamiętając: „Chłopski styl widzenia rzeczy” zastępuje więc proces wyboru, czy też docierania pewnych treści i watków z kultury ogólnej. O tym wyborze i przyjmowaniu obiegowych alejako motywów literackich decyduje obok sfery praktycznych zainteresowań chłopów-rolników ich sytuacja umysłowa, ponieważ więc odrzuca to wszystko, czego nie rozumie. Kamiński odmawia ludowi inicjatywy i pomyslowości twórczej, widząc w obrzędach świątecznych — strzępy staropolskiego teatru religijnego, w pieśniach — reminiscencje i przeróbki utworów literackich, w twórczości mówionej, baletowej — zmieszane i poplatane wtki literackie ślacheckie, kościelne i szkolne. Wiś jako odbiorca literatury w żadnym z etapów historycznego rozwoju, omawianego przez autora nie staje się także twórcą literatury. O zapelnieniu tej luki musza się pisarze ludowi upomnieć.

Referat Kamińskiego poucza, że ścisła filologiczne podejście do twórczości literackiej ludowej nie określiłoby jej wcale. Samo wykazanie wpływów, jakim podlegał Rak, Kuras i inni byłoby łatwe. Ale oni stali się poetami nie dzięki tym wpływom, ale pomimo nich.

Szkoda, że współpracownicy „Wsi i Państwa” nie czytują „Wsi”. Ankieta „Jakiej powieści chce dziś siejsza wieś” drukowana ostatnio doprowadza do lnych wniosków co do literackich upodobań chłopów niż te, jakie wysnuwa Kamiński z własnego doświadczenia. W wypowiedziach chłopów znajduje wyraz na przekór Kamińskiemu właśnie dążenie do idealizacji życia, ale w granicach i formach rzeczywistości, od której, jak twierdzi Kamiński, chłop w książce szuka ucieczki. W rezultacie chłop tego zostaje zawieszony między niebem i ziemią. Poszukując realizmu zgodnego z „chłopskim zdrowym rozsądkiem” jednocześnie wyrzyna się z szczytu rzeczywistości i pragnie jej zapomnienia.

Czy chłop ma wreszcie ów „zdrowy chłopski rozsadek”, czy też jest to tylko laskawy dar tych, którzy odsadzają chłopca od udziału w pełnym, nieklasowym rozumie?

Piotr Wyrobek

Ilustr. A. Strumiłło

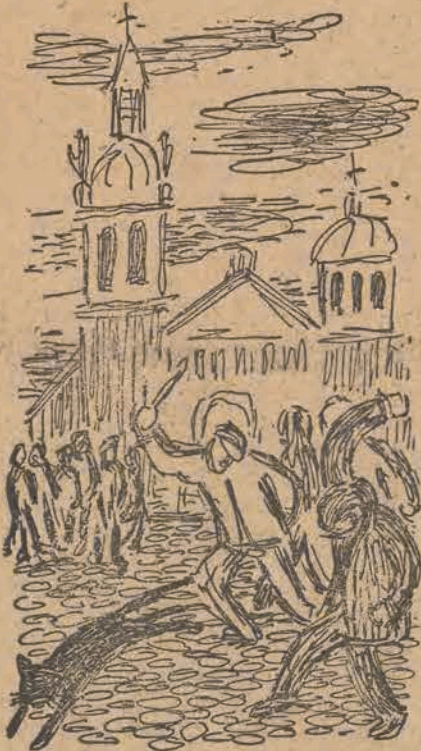
„Judasza” na Podhalu

Pogańscy nasi przodkowie nazywali siły przyrody, które darzyły dobrodziejstwami i polepszały ich byt, Bogiem Białym tj. dobrym, natomiast te, które przynosiły nieszczęścia i kłeski, Bogiem Czarnym czyli złym nazywano. Od pierwszego pochodziło wszystko dobre, gdy przeciwnie drugi był przyczyną zła. Dlatego też różnymi ofiarami starano się złagodzić gniew złych, bóstw. Obok tych dwóch wierzone jeszcze w inne pomniejszych bogi, szkoda i kłeski ludziom przynoszące — a do takich należała Marzanna, bogini śmierci, uosobiona w postaci zimy. Żywa natomiast była boginią życia.

Na cześć tych bogów odprawiano uroczyste igrzyska i palono ogień na górach i wzgórzach — w czasie zmiany pór roku. — Gdy np. w marcu budziła się natura pod wpływem ożywczycych promieni słonecznych, wtedy kończyło się dokuczliwe panowanie Marzanny tj. zimy — więc z radością witano rozpoczynające się panowanie bogini Żywy, uosobionej w kwiecistej i słonecznej wiosnie, oraz wyobrażającej bożyszczce urodzajności. Jej pamięć żyje dotąd w nazwie podkarpackiego miasta Żywca, w okolicy którego miał się znajdować na górze posąg tej bogini. Z nastaniem wiosny wynoszono bawiana zrobionego ze słomy, co miało wyobrażać Marzannę i topiono w wodzie rzeki przyspiewując mu:

„Śmierć płynie po wodzie —
nowe lato ku nam idzie” —

Jeszcze przed 60 laty — pamiętam to, jak w miejscu mego urodzenia w zagrodzie Pięskowej w Osielcu — było zwyczajem, że we Wielki Czwartek robiono ze słomy chłopca i po przetrzepaniu go kijami wśród okrzy-



ków i przekleństw zatapiano go w rzece Skawie, co nazywano „topieniem Judasza”. Nie ulega tedy wątpliwości, że zwyczaj ten był pozostałością z tych zamierzchłych czasów, kiedy to po ustąpieniu zimy dokuczliwej żegnano Marzannę złorzeczeniami i nagrawaniami się z niej, a witano rozpoczynające się panowanie bogini wiosny. W nazwie ostatniego, dokuczliwego miesiąca zimy „Marzec”, pozostała pamięć o bogini „Marzannie”, bo po tym miesiącu nastąpił miesiąc wiosenny, który nazywali starzy górale „budzikwiat”. Długo zatem utrzymywały się dawne zwyczaje i obrzędy, zanim ciemnota pogańska ustąpiła miejsca kulturze chrześcijańskiej. A gdy to się stało i nie można było w inny sposób wypłenić starych i silnie zakorzenionych zwyczajów i obrzędów pogańskich, przyobleczone je tedy i dostrójono w szatę nowych chrześcijańskich pojęć — podstawił więc imiona i uroczystości dostosowane do wielkotygodniowych obchodów w związku z męką i śmiercią Chrystusa. Obecnie wielkotygodniowe zwyczaje ludowe pod Babią Górą nie są już pod wpływem pogańskich bogów — zmieniły się więc tylko role, a ów nieszczęsny Judasz Iskariota, jeden z 12 apostołów, zhańbiony zdradą swego mistrza Chrystusa przez wydanie go starszyźnie żydowskiej za 30 srebrników, stał się wedle pojęć ludowych tą symboliczną postacią gorszego od samego szatańna wroga Chrystusowego, uosobieniem fałszu, chciwości, zdrady i wszelakiego zła i zbrodni.

W miasteczku Bobowa przed 50 laty uprawiano następujący, trochę barbarzyński kult Judasza we Wielką Srodę: Zbierała się banda chłopaków i wyrostków, przeważnie terminatorów rękodzielniczych. Garnek gliniany, duży, napełniali półgorącym popiołem, tak, że na wierzchu była warstwa zimnego popiołu a na spodzie gorący jeszcze popiół z iskrami. Schwytanego dużego, starego kota — żydowskiego chowu — wynosili na szczyt wieży kościelnej i tam wsadzali go do

owego garnka, a żeby nie wypadł lub nie uciekł, obwiązywali szmatą i smolną dratwą szewską — po czym potrasali garnkiem, żeby kota trochę przypiekło i rozdrażniło i oczy mu zasypało. Następnie rzucali garnek z kotem z wieży kościelnej na ziemię. Garnek upadając rozbił się, zaś kot przestraszony pędził naokoło kościoła miaucząc, a chłopcy z kijami i kamieniami za nim. Gdy

ze smolą, czyli tzw. „mażnicę” — i to rzucali do ognia celem wywołania żywszego płomienia. Także znosili beczki z nafty, z teru, z octu, z wina lub ze śledzi, skradzione kupcom, i we Wielki Czwartek o zmroku, pod komendą jednego prowadzycy, wynosili na tzw. „Górki” pod kościołem, gdzie zapalili wielkie ognisko, beczki napełnione słomą i polewane smolą i naftą, zapalali na



go dopadli i na śmierć zatukli, mówili, że się „sprawili z Judaszem”.

A znowu we wsi Wróblówka, koło Czarnego Dunajca, we Wielką Srodę robili Judasza ze słomy. Osmarowywali go smolą i wynosili wieczorem za domy, na bory, tj. na torfowiska. Tam go dobrze kijami przetrzepali a następnie podpalali.

Z tak licznych dawniej obrzędów zwyczajowych na Podkarpaciu zostało już niewiele, albowiem zarzucono je i zaniechano z biegiem lat i wieków, a zarzucono dlatego, że albo traciły pierwiastkiem pogańskim, albo też były one przyczyną zdziwienia obywateli, rozpuszty, lub zgorzenia. Utrzymał się jedynie w okolicach Makowa pod Babią Górą i w Makowie samymi mający tło religijne obchód „palenia Judasza”, który corocznie odbywa się we Wielki Czwartek o zmroku. Na wszystkich wzgórzach palą się ognie, a przy nich dziesiątki hałasuje i śpiewa, a właściwie w niebogłosy drze się:

„Judosie — nie doń się!”

„Weź kija — obroń się!”

— „Jakże się — obronie!” —

— „Kij kija — kij łomie!” —

Po czym następuje:

„Na niego — na niego

— hurra chłopcy wrz!” powtarzając:

— „Na niego — na niego hurra chłopcy wrz!” — i znowu od początku to samo:

— „Judosie — nie doń się” — powtarzając tak długo, dopóki materiału paliwa starczy. A materiał palny gromadzą małe chłopaki i wyrostki już od tygodnia, a więc gromadzą: stare miotły, snopy słomy i chrust — na upatrzone wzgórza. Bywało i tak, że podczas jarmarków makowskich, kradli chłopcom, którzy przyjeżdżali na targi, naczynia

wzgórzu i płańce na dół staczali — a po tym znowu wynosili na kijach do góry, by je znowu na dół spuścić. Zaś „mażnicę” ze smolą natkniętą na drążki od mioteł, trzymali zapalone niby pochodnie, którymi wywijali ponad głowami — krzycząc w chór donośnym głosem:

„Judosie — nie doń się!”

— „Weź kija — obroń się!” — itd.

Owo palenie ognia po górach i wzgórzach przypomina sobótki, gdzie w innych okolicach kraju, a w szczególności na równinach, palą na Zielone Świątki, lub na św. Jana. W okolicy Babiej Góry takich sobótek obchodzić nie ma zwyczajem.

*

Warto jednak wspomnieć zwyczaj, praktykowany w kościołach w Makowie i w Osielcu, lecz już od 70 lat zaniechany. Było to tak, że we Wielki Piątek po „Ciemnej Jutrznii”, która miała miejsce pomiędzy godz. 3-cią a 4-tą popołudniu, gdy ksiądz dał znak kościelnemu, by zgasił ostatecznie tj. trzynastą świecę na tzw. „triangu”, wtedy to kościelny, wzięwszy tę trzynastą świecę z owego „triangu”, szedł z nią za wielki ołtarz, gdzie byli, przyzykowi chłopcy z przygotowanymi już klekotkami (klapacami), grzechotkami i trzaskawkami, obracanymi na korbach. Jeden z chłopców przebrany był za Judasza w czerwoną suknię, z zieloną przepaską. Gdy ksiądz po odprawieniu liturgicznego obrzędu („treny Jeremiasza”) uderzył brewiarzem o ławkę, wówczas chłopcy ukryci za wielkim ołtarzem, na ten znak księdza zaczęli kłapać na klapkach i grzechotkach, a przebrany za Judasza chłopiec biegł na środek kościoła między ludzi z takim rozpędem, że przewracał

klejących, zwłaszcza kobiety, zaś reszta chłopców z klapkami i grzechotkami biegnąc za Judaszem, przewracała również niektórych z ludzi, co wywoływało śmiech i zamieszanie w kościele. Aż wreszcie Judasz wybiegł z kościoła i chłopcy w pościgu za nim.

Gdy już kościół dookoła oblecieli, Judasz znowu wpadł do kościoła, przewracając po drodze tego, o którego zawadził w biegu, aż wreszcie wylatywał i ukrywał się w ambonie i tam się rozbierał, tj. składał ów judaszowski płaszcz i zieloną przepaskę. Na tym kończyła się dawniej w kościele makowskim tzw. „Ciemna Jutrznia”, a lud zaczynał wtedy śpiewać „Gorzkie Żale”. Ale za czasów rządów w parafii św. Ks. proboszcza Heera ten obrząd ludowy z Judaszem w kościele makowskim zarzucono, a także zaniechano później nieco i w kościele w Osielcu, albowiem obrzędy te, aczkolwiek związane z liturgią, wywoływały w kościele śmiechy i zakłócenie powagi nabożeństw a nawet dawały publiczne zgorzenie. Nazywało się to „szukaniem i gonieniem (ściganiem) Judasza”.

*

Istniał też w Makowie dość oryginalny sposób pełnienia straży przy tzw. grobie Chrystusa w kościele makowskim, niewiadomo przez kogo i kiedy wprowadzony. Lecz zwyczaj ten również przed około 90 laty został zaniechany. Straż tę przy grobie Chrystusa od Wielkiego Czwartku aż do rezurekcyj wykonywali mężczyźni, przebrani za Żydów, w liczbie 30, w sposób następujący: Gdy liturgiczna msza św. się skończyła i wedle zasad liturgicznych miano Pana Jezusa przenieść do tzw. piwnicy w kaplicy kościelnej, wtedy wchodził do kościoła owi przebrani za Żydów mężczyźni. Ubrania ich były sporządzone wedle starego typu; bluzy od spodu były zębate, a na głowach peruki z pejsami. Ubrojeni byli w krzywe szable przy boku, nado to w pikl, i pełnili asystę przy procesji do kaplicy i pod ich jakoby eskortą odbywało się przeniesienie Pana Jezusa do tzw. piwnicy, a następnie od tej chwili pełnili straż honorową tamże po dwóch, luzując się co godzina na przemian. A w Wielki Piątek po ceremonii liturgicznej również pod taką samą eskortą zanoszono Chrystusa do grobu. A gdy go już do grobu złożono, owi żydkowie — jak ich nazywano — pełnili znowu straż po dwóch, luzując się co godzina z „wachymy” na plebanii. Tak było aż do rezurekcyj, która przed tym odbywała się w kościele makowskim w niedzielę wielkanocną o świcie. W niedzielę wielkanocną o godzinie 4-ej zrana zwoływano ludność na rezurekcyj wystrzałami z moździerzy. I pobożni garnęli się tłumnie z rozległej wówczas parafii makowskiej do kościoła. Około 5-ej godziny zrana rozpoczynała się rezurekcyj. Gdy po odśpiewaniu liturgicznych modłów i psalmów, celebrujący ksiądz zaintonował na znak Zmartwychwstania z Monstrancją w ręku hymn: „Cum Rex gloriae”, wtedy owi żydkowie pełniący służbę przy grobie Chrystusa w liczbie trzech, gdyż na tę ostatnią noc straż o jednego była wzmocniona, tak naumyślnie, a niby to ze strachu, że Chrystus z grobu zmartwychwstał, poprzewracali się na ziemię w różne pozoje: jeden wznak, drugi w tył, a trzeci w bok. Reszta zaś straży stała w dwurzędach przed drzwiami kościelnymi i na komendę dowódcy: „Kil-pik!” — „Diki naprzód!” — również udawali przestraszonych, co wywoływało ogólną wesołość a nawet głośny śmiech. Po czym wszyscy uciekali, biegnąc w przeciwnym kierunku, jak szła procesja. — Gdy czoło procesji napotkało, wtedy na znak komendanta podskoczyli wszyscy naraz, ochlapując (gdy było mokro) ludzi błotem i wywołując oburzenie u kobiet, idących w procesji dwoma rzędami ze światłem różańcowym, które przyoblokły na tę uroczystość najpiękniejsze stroje, jakie miały, u innych ludzi wzburzało to śmiech i zamieszanie.

Dla uniknięcia publicznego zgorzenia i pogwałcenia nabożeństwa, zarzucono również w parafii makowskiej zwyczaj tego rodzaju straży i asysty przy grobie Chrystusa przed 90 lat. Jednakże tradycja o tym drodze opowiadał ludzi starych się utrzymała — tak, że ja mogłem zanotować. Od około 55 lat straż honorową przy grobie Chrystusa i asystę w czasie procesji sprawuje makowska straż ogniowa ochotnicza.

*

Święte dla dawnych mieszkańców okolicy Babiej Góry musiały być niektóre osady, jak np. Sucha, gdzie czczono w pogańskich czasach światło i palono ogniska po wzgórzach tak, jak w innych okolicach palono „sobótki” na cześć Światowida, to podanie ludowe mówi, że na Babiej Górze niewiasty paliły ognie, tańcowały, śpiewały i „Czarnobogu” cześć i modły czyniły. Obrzędy te przeżyły tysiąc lat — z tą tylko odmianą, że pod wpływem religii chrześcijańskiej i wpływem księży przybrały one podkład religijny. I obecnie, rokrocznie obchodzi je ludność w okolicy Babiej Góry we Wielki Czwartek o zmroku pod nazwą „palenia Judasza”. — W niektórych wsiach górskich uczestniczyli dawniej przy obchodzie „palenia Judasza” wójtci miejscowi i starszyzna wsiowa. Trafiało się, gdy uczestnicy obchodu mieli wódkę, to przypiali do wójtka mówiąc: „Zdrowie krzesny ojciec!” — a on pijąc do nich — odpowiadał na to: „Zdrowie Judosie!”



T. Kullstewicz: „MACIERZYŃSTWO”. Z cyklu „Wiś w Gorcach” 1936 (drzeworyt)

BANK GOSPODARSTWA SPÓŁDZIELCZEGO

CENTRALA W ŁODZI TEL.: 197-93, 94, 95, 96

zawiadamia, że z dn. 1 marca 1947 r. wymienione niżej powiatowe placówki tego Banku zostały dodatkowo upoważnione do samodzielnego kredytowania spółdzielni wiejskich w granicach przyznanych kompetencji. Zarządzenie powyższe zostało wydane celem ułatwienia spółdzielniom wiejskim, zwłaszcza spółdzielniom Związku Samopomocy Chłopskiej — korzystania z pomocy kredytowej oraz dla zacieśnienia ich współpracy z placówkami BGS.

BIAŁOSTOCKIE: Bielsk Podlaski, Suwałki; **GDANSKIE:** Elbląg, Gdynia, Kwidzyn, Sopot, Tczew; **GÓRNY-SŁĄSK:** Bielsko, Bytom, Cieszyn, Gliwice, Kluczborek, Opole, Sosnowiec, Tarnowskie Góry, Zabrze; **KUJAWSKIE:** Częstochowa, Jędrzejów, Ostrowiec, Sandomierz; **KRAKOWSKIE:** Miechów, Nowy Sącz, Olkusz, Tarnów, Zakopane; **LUBELSKIE:** Biała Podlaska, Chełm Lub., Hrubieszów, Krasnostaw, Kraśnik, Puławy, Siedlce, Zamość; **ŁÓDZKIE:** Końskie, Kutno, Łowicz, Pabianice, Piotrków, Radomsko, Sieradz, Skierniewice, Tomaszów Mazow., Zgierz; **POMORSKIE:** Brodnica, Chojnice, Grudziądz, Inowrocław, Nakło, Włocławek; **POZNAŃSKIE:** Gniezno, Gorzów, Kalisz, Koło, Konin, Krotoszyn, Leszno, Ostrów, Rawicz, Wągrowiec, Zielona Góra; **RZESZOWSKIE:** Przemyśl, Jarosław; **SZCZECIŃSKIE:** Koszalin, Myślibórz, Słupsk, Szczecinek; **WARSZAWSKIE:** Ciechanów, Garwołń, Grodzisk Mazow., Miawa, Płock, Pruszków, Sierpc, Węgrów; **WROCLAWSKIE:** Dzierżonów, Jelenia Góra, Kłodzko, Legnica, Świdnica, Wałbrzych.

Stefan Gębala

ZGRZYTY

Cudotwórcy czy biedni ludzie? Tytuł niniejszego artykułu przyszedł mi na myśl w czasie pobytu w młynie. Młyn to w okolicy ważna rzecz; zjeżdżają się tu furmanki z całej okolicy, czasem jedna, czasem dwie, innym razem znów kilkadziesiąt. Wtedy jest ciżba... Ale nie o to tu chodzi, że zarząd młyna nie potrafi jakimś tam sposobem rozłożyć nawału pracy na dłuższy czas, przez jakieś umowy z klientami, czy też w inny sposób. Ale chodzi o to, że młyn ten przede wszystkim zgrzyta. Czasem psują się elewatory, czasem walce, innym razem znów niedopisuje lokomobil, w sumie zaś połowę czasu zajmuje tzw. remont, drugą zaś tzw. ciżba. Ale jakże nie ma zgrzytać w tym skomplikowanym mechanizmie, skoro jego techniczny kierownik był zaledwie siłą pomocniczą, palaczem czy czymś w tym rodzaju, tamten zaś fachowiec dawno już poszedł sobie tam, gdzie czekała go większa lokomobil, bardziej skomplikowane urządzenia i większa płaca. Zarząd spółdzielni, a szczególnie jego prezes jest dobrej myśli. Jeszcze rok, może dwa — powiada — przyjdą już nowi maszyniści... Szkoły są pełne i najstarsze ich roczniki niedługo już z nich wyjdą.

Tą samą nadzieją żyje całe społeczeństwo, trzeba jednak sprawą tą zainteresować się u samego źródła. Przypatrzmy się siedmioklasowej szkole na dalekiej prowincji. Budynek przedstawia sporo do życzenia, zaopatrzenie w opał na zimę jest, trzy sily nauczycielskie zamiast sześciu i wypłacie tablice w klasach szkolnych, to już trochę za mało. Przy pomocy tych wypłacie tablic nauczyciele mają nie tylko nauczać czytać i pisać, ale mają wypełnić cały program siedmioklasowej szkoły, a nawet mają prawo stawiać stopnie w świadectwach szkolnych, z przedmiotów takich, jak przyrodznawstwo, fizyka, chemia itd. Wobec takiego stanu rzeczy nie będzie dziwnym, jeśli się zauważy, że piętnastoletni absolwent szkoły powszechnej nie ma pojęcia o rzeczach przemocą cisnących się na wieś. — Motor, traktor, żarówka, a nawet piorunochron są mu niezrozumiałe, a także rzeczy,

jak aparat radiowy, to dla niego dziwy niepojęte, które zresztą można kupić, jeśli się ma pieniądze.

Potrzeby szkół są olbrzymie: brak budynków, brak sil nauczycielskich i wiele jeszcze innych braków, ale pomiedzy nimi, jednym z najważniejszych jest brak prawie zupełnie pomocy naukowych. Zgrzytem jest to, że wśród licznych głosów dopominających się o klasy szkolne, o opał, lepsze usytuowanie nauczycieli, nieraz o dach nad szkołą, głosu dopominającego się pomocy naukowych dla szkół powszechnych nie słychać... A przecież to czas elektryfikacji wsi, mechanizacji gospodarstw rolnych itd.

Czy Z. S. Ch. powinien uczyć gotować? Dziwaczne to zapytanie niech wytłumaczy jeden niezrany może szczegół. Otóż prawie każdy obszar dworski, który uległ parcelacji na skutek reformy rolnej, pozostawił po sobie tzw. osrodek, który znów z góry jest przeznaczony na szkołę rolniczą. Zdarzają się wypadki, że zdevastowana resztówka nie daje sobie rady z dziećmi, ani pomocy naukowych, którymi dla szkoły rolniczej są m. inn. stodoły, stalnie, obory, których nie ma. Nie rezygnując ze szkoły, z konieczności otwiera się szkołę gospodarstwa domowego, która także zapełniona jest do ostatniego miejsca, ale tu znów mają głos dorośli i niedorośli społecznicy. Głos ten krytyczny, szyderczy niemal, bo jakżeż to? Bo czegoż oni tam uczą? Gotować? Nie wiedzą oni, że ta właśnie nauka wykruwa się najskuteczniejszą broń przeciw samogonowi i alkoholizmowi młodzieży. Brzmi to jak wesoła anegdota, ale pozwólmy sobie na jeden mały przykład. Jest tak: pod okopconą kapą kuchenną w obszernej izbie stoją okazałe sagan, ku którym zwraca domowników jedynie dotkliwy głód. To nie to, że zasoby nie pozwalają na urozmaicenie tradycyjnego menu, to nie to, że czegoś tam brak. Braki większe są w rodzinie robotnika czy rzemieślnika w mieście. Tu jest jeden wielki brak umiejętności, skrywany przez gospodynie w tradycyjnym zamówianiu do tej sielskiej anielskiej prostoty żuru. Chodzi teraz o reakcję, z jaką ten stan rzeczy spotyka się ze strony młodzieży... Dla niej znającącej przeważnie sporo świata, sagan pod okopconą kapą swój powab utraciły. Jest jednak we wsi ktoś poczciwy, kto przy szklance samogonu zaofiaruje kawalek wędliny, czy czegoś tam, co wabi doń młodzież. To nie jest pociąg do alkoholu, wywarza się on dopiero z czasem. To ucieczka od owego żuru, od tradycyjnych saganów i od okopconej „kapy”.

Potrząc na te szkoły, które kiedyś mają być szkołami rolniczymi, patrząc na ich uczeni, wiem, że one spowodują jedno z najbardziej rewolucyjnych przemian na wsi, dla której można już odżalować zepsucie stylu naszych wiejskich izb.

Leśne sprawy. Ta ostatnia przemiana zaczęła się już. Nie ma wsi, bez względu na to, czy zniszczona wojna, czy nie, aby w niej czegoś nie budowano. Buduje się stodoły i obory, ale przede wszystkim domy mieszkalne. Buduje się je inaczej, niż było to w zwyczaju od czasu wprowadzenia komina do kurnej chaty. Tu jednak znówu coś nie w porządku; to sprawa materiałów budowlanych. Las przestał być własnością właściciela, nawet bezplanowa sprzedaż prawie że skończona, a rygorystycznej ustawy ominąć się nie da. Prezes Powiatowego Z. S. Ch. próbuje o sprzedaż drzewa podpisywać nie chce. Krzyczy jedynie przy każdej okazji, że dość tego klecenia chlewicka na chlewicku, dość bezplanowego gromadzenia

opału na pożar, że przed budową wcześniej nastąpi typowanie gospodarstw, komasacja itd. Nie ma więc bezplanowej sprzedaży, nie ma dewastacji, nie ma podpisywanych próśb o sprzedaż, a jednak buduje się w każdej wsi.

Przed gminną radą narodową, przed każdym jej zgromadzeniem staje zawsze jeden i ten sam punkt porządku dziennego: zapobiec kradzieżom leśnym... Ten i ów z radnych spuszcza głowę, znak, że coś tam winien... prośbę mądreństwa państwowego odrzuca się, nie tylko dlatego, że któryś z radnych winien, że rada nie rozporządza odpowiednimi środkami, ale także dlatego, że sporo się mówi więcej jeszcze niż wie, a jeszcze więcej domyśla.

Malpizzon. Potracając o kwestię łatwych zarobków i o ich skutki, natrafiamy na całą hierarchię zbrodni i przestępstwa, które nie tylko łamią paragrafy prawa, ale stają w poprzek naszemu popularyzowaniu idei demokracji. Jeśli widzieliśmy oficera śpiącego w jednej stodole ze swymi żołnierzami, wszystko było w porządku. Tak sobie wyobraża demokrację przeciętny wiejski człowiek. Kiedy jednak widzimy żółty wózek nie tylko paskarza, kiedy patrzy się na strzelbę między kolanami na tymże wózku, w czasie ochrony zwierzyny, kiedy widać się to samo, co widzieliśmy tak niedawno w pobliskim dworze, to coś nie jest w porządku. Dodajmy do tego traktowanie w niektórych urzędach, przy niektórych okienkach itd. a dowiemy się, że popularyzowanie zasad demokracji wymaga uprzedniego usunięcia wielu kłód zwalonych w poprzek. Zrobi to szcior, ale nim się to stanie, zrobić trzeba wcześniej, bo wychowuje nie tylko szkoła, ale i otoczenie. Chłopski uraz psychiczny na tle szlachetnościny nie doznał satysfakcji: szlachty nie ma, ale szlacheci malpizzon, „pan z pana” istnieje, a ponadto demoralizuje i deprawuje sporą część młodzieży.

Makulatura. Wszystko to utrzymuje przy życiu od bardzo dawna wrośnięta w wieś nieumiejętność do urzędów i w ogóle do wszystkiego co spoza wsi pochodzi. Stanowisko także mogło być słusznym w czasach, kiedy chłop był obywatelom drugiej klasy, kiedy to wielu działaczom społecznym, wydawało się, że należy ten stan rzeczy utrwalac ze względu na klasową samoobronę chłopów. Stanowisko takie było zupełnie słuszne w czasie okupacji. Dziś jednak jest ono niesłuszne w założeniu i szkodliwe.

Do dziś jednak nic się nie zmieniło. Dziś wazne poczucie „solidarności” przeszkadza tak samo, jak trzy lata temu, w pełnieniu obowiązków każdemu, kto jest do tego powołany. Przykładów jest bardzo wiele, ale niech jeden wystarczy. Oto działalność samorządu na jego najniższym szczeblu, tj. w urzędzie gminnym. Następuje wymiar i pobór podatku. Urząd zna sumę, jaką ma pobrać, zna powierzchnię gruntów, od których pobiera tę sumę, lecz na skutek zaginięcia ksiąg gruntowych, przy indywidualnym wymiarze opręć

się musi na zeznaniach płatników, z których wynika, że wiele hektarów z obszaru gminy zapodziało się gdzieś i globalnej sumy podatku ściagnąć się nie da.

Dla odmiany spis statystyczny pogłowia zwierzęcego i drobiu. Spis powierza się sołtysom, którzy w poczuciu solidarności i w nieokreślonej bliżej obawie o świadczenia rzeczowe, zapisują dziesiątki arkuszy papieru urojonymi cyframi, sfalszowanymi na minus. Sołtys nikomu szkodzić nie chce, ani nikogo na owo nieprzewidywane narażać, więc w czasie swoich urzędowych czynności prowadzi takie np. pogwarki:

„— He ku macie? — Zapytany o to właściciel sporego stadka kręci się i wymiga, bo wiadomo „na zło to idzie”. Solidarny urzędnik, jako, że nikomu szkodzić nie chce pomaga jak może i po jakimś czasie w zgodzie i jedności ustala się ilość. Sto pięćdziesiąt gospodarstw we wsi i sto pięćdziesiąt kur... Cenny materiał zebrany przez sołtysów spowoduje nawał pracy w urzędach gminnych, starostwa zbiorą te cenne dokumenty w archiwa, a kiedyś, gdy Urząd Statystyczny porówna ilość wyeksportowanych zagranicę jaj ze stanem pogłowia kurzego, wyniknie z tego ciekawe odkrycie. Ktoś naiwny gotów będzie sądzić, że jedna kura w Polsce znosi rocznie około tysiąca jaj, podczas gdy okazowe sztuki np. w Danii znoszą dwieście sześćdziesiąt sztuk jaj rocznie, co stanowi rekord i jest przedmiotem wystaw.

Nikt nie ma odwagi zdobyć się na nazwanie tej całej czynności spisowej gromadzeniem makulatury, nikt nie odważa się tego należyście potraktować, w dodatku nikt ze strony urzędowej nie wyraził dotychczas nieufności do sołtysów... A przecież nie o kury tu chodzi, o rzucanie piasku w tryby, o bezcelową pracę olbrzymiego aparatu administracyjnego. Pełne zaufanie, z jakim się traktuje te najniższe organa urzędowe, nie zawsze daje pożądany efekt. Przy braku szczegółowej kontroli, przy dziwacznym poczuciu „solidarności”, przy niezaginionych jeszcze zadrażnieniach z czasów sanacji i okupacji, najczęściej chybiamy i wypacza najszlachetniejsze zamiary. Tak było także z reformą podatku gruntowego, która podzieliła na strefy płatnicze powiaty, a nie podzieliła obszarów gruntów gromadzkich o bardzo różnorodnej nieraz glebie i tylko dzięki niebywalej niśkości tegoż podatku nie słyszymy utyskiwań.

Dzieją się rzeczy wielkie. Stanęliśmy wśród przemian, które planowane przez pokolenia, dziś się urzeczywistniają. Dzieją się rzeczy, które zmieniają nawet nie tylko wygląd zewnętrzny wsi, nie tylko krajobraz kraju, ale zmieniają psychikę mas ludności wiejskiej. Zmiany konkretnie rozplanowane sągają o wiele głębiej, niż sięgnęła jedna z największych reform społecznych, którą było uwłaszczenie. Przyniosło ono pozory człowieczeństwa i jakichś takich praw mieszkańcom zapadłych wsi i kurnych ich chat. Dzisiejsze reformy sięgają wsę dzie i od garnków na kominie począwszy, do głębi serc i dusz.

W trudnej tej pracy trzeba usuwać zgrzyty.

Książki nadesłane do Redakcji

„Książka”:

J. B. Priestley — Trzej panowie w cywił, str. 216.

Jerzy Zagórski — Indie w srodoku Euro py, str. 144.

Upton Sinclair — Król węgla, str. 462.

Stanisław Strzelbicki — Przywileje pracownicze kobiet, str. 48.

Książnica — Atlas:

Ewa Maleczyńska — Historia starożytna, str. 168.

Stanisław Skowron — Hormony, str. 48.

Józef Wasowicz — Stosunki językowe na Śląsku, str. 30.

Wydawnictwa inne:

A. J. Cronin — Cytadela, str. 429+1.nbl. wydawnictwo J. Przeworskiego, Warszawa 1946.

Zofia Nalkowska — Niedobra miłość, str. 225, Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza”, Warszawa 1946.

Helena Boguszewska — Całe życie Sabiny, str. 204, Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza”, Warszawa 1947.

Dr Józef Putek

Mroki średniowiecza



Dr Józef Putek

W związku z zapowiedziami rychłego ukazania się trzeciego wydania „Mroków Średniowiecza”, zwróciłem się do autora o podanie w jakich okolicznościach pisał tę książkę.

Redakcja.

— Książka narodziła się w warunkach niezwykłych — bo w więzieniu. Odbywałem wówczas karę więzienia, nałożoną wyrokiem w procesie brzeskim. Myśli do napisania tej książki nasunął mi przede wszystkim sam proces brzeski. Skazano nas za przestępstwa, których nie popełniłmy. Wmawiano w nas wyrokami trzech instancji zbrodnie polityczne, które wymyślone zostały przez prokuratorów i sędziów gwoli pogńębienia przeciwników politycznych sanacyjnego reżimu. Czyż proces brzeski zrodzony z nienawiści politycznej, nie przypominał procesów wytaczanych z nienawiści wyznaniowej „heretykom” i „czarownicom”? Zetknięcie się w więzieniu z ludźmi rozkładanymi na łożu Madejowym sprawiedliwości i z systemem wychowywania i poprawiania tych ludzi, pobudzało i zachęcało do zbadania tego problemu w perspektywie dziejowej. A że przez spory okres mojego życia byłem dzierżycielem kawalka władzy świeckiej i prawdopodobnie nie byłbym jakim — skoro spotkałem się w tym charakterze nawet z interdyktem czyli mniejszą klątwą władzy kościelnej, więc też mając w więzieniu dużo czasu do rozmyślań, zastanawiałem się nad tym tematem, a szczególnie interesowało mnie zagadnienie preponderancji politycznej i społecznej kleru w starej Polsce. Różni „antyklerykaliści” w broszurkach pokazywali polskiemu chłopom i robotnikom hiszpańskiego Torquemada, czy stary, na których w Niemczech palono czarownice. Postanowiłem zachęcić ich do przypatrzenia się także mioniej staropolskiej rzeczywistości, która miała nie jednego polskiego Torquemada i stosu z żywymi pochodniami polskich „czarownic”.

— Czyżby w więzieniu można było pisać książkę?

— Zawdzięczam tę możliwość także dość niezwykłej okoliczności. Naczelnikiem więzienia w Wadowicach był niejaki Majewski, który do służby w więzennictwie zaprawiał się w Warszawie jeszcze — za czasów cara Mikołaja II. Z tego czasu — rzecz dziwna — wyniósł on poszanowanie dla więźniów politycznych. To też w więzieniu w Wadowicach wówczas, kiedy tam siedziałem, była specjalna duża cela, w której siedzieli polscy komuniści. Tu ich na własne żądanie przesadzono z różnych więzień polskich, tu nimi opiekowała się niezmordowana s. p. Stefania Sempołowska. Mnie przydzielili osobną celę z niezłym oświetleniem, pozwolili sprowadzić książki, sprowadzić z Archiwum dokumenty. Korektę książki „Pierwsze występy polityczne wólciaństwa polskiego” robiłem w celi więziennej. A „Mroki średniowiecza” zabrał ode mnie z więzienia mój przyjaciel ś.p. poseł Stanisław Szczepański i oddał je w ręce Emila Haekera, redaktora „Naprzodu”. W czasie, gdy siedziałem w więzieniu, „Naprzód” drukował w odcinku „Mroki”. Pamiętam dość zabawny scenę z okazji cenzury skryptu „Mroków” dokonywanej przez wspomnianego naczelnika więzienia Majewskiego. W dziale, traktującym o inkwizycji w Polsce, podane było nazwisko Melchiora Mościckiego, jako ostatniego spośród 45 inkwizytorów urzędujących w Polsce. Skrypt zawierał wzmiankę,

że ów Mościcki królowi Zygmuntowi Augustowi wyrwał z ręki pióro, kalamarz stracił i kazał pokutować za to, że chciał podpisać zezwolenie na druk heretyckiej książki.

— Tego nie puścimy do druku — mówił Majewski.

— Przecież to fakt historyczny.

— Ale jak minister sprawiedliwości chwyci za pióro, by podpisać dekret wydający mnie ze służby, to Mościcki mu pióra nie wytrąci — odpowiedział Majewski.

Przyznałem słuszność. Mościckiego poprawiliśmy na Melchiora z Mościc, a historię z wytrąceniem królowi pióra zostawiliśmy do... drugiego wydania „Mroków średniowiecza”.

Z tego widać, że czasem więzienna cela równa się celi klasztornej, więzień zakonników reguły św. Benedykta, a naczelnik więzienia zastąpił ze skutkiem Dr. Zabłudowski.

— Jakie były głosy o tej książce?

— O ile pamiętam — książka miała prasę dobrą. To też popyt na nią był duży. Nawet Redakcja „Piasta” w Krakowie pośredniczyła w rozprowadzaniu nakładu ku wielkiemu zgorzseniu księży — redaktorów „Dzwonu Niedzielnego”, a także hrabiego Lasockiego, który miał do mnie pretensje o krytykowanie papieża Grzegorza Wielkiego.

W tym wypadku pomylił się hr. Lasocki, gdyż pisałem o papieżu Grzegorzu Hildebrandzie, a on zidentyfikował go z Grzegorzem Wielkim. O książce tej wspominał mi też ks. biskup Rospond. Nie kwestionował prawdziwości faktów w niej przytoczonych, ganił tylko metodę pracy, polegającą na gromadzeniu samych „mrocznych” faktów. Oświadczyłem, że powinno to dać sposobność komuś do napisania w celu równowagi na temat „Biaśki średniowiecza”.

— Kto książkę tę czytał?

— Praca ta — jak wspominałem — drukowana była w krakowskim „Naprzodzie”, tedy sfery robotnicze i inteligentkie ją czytały. A potem wydania książkowe rozbiegali chłopci, Koła S. L., biblioteki „Wiści”. Wiele też egzemplarzy poszło do Ameryki i Francji. Drugie wydanie ukazało się przed samym wybuchem wojny. W obozie koncentracyjnym opowiadali mi przybysze z kraju, że książka ta przemycana była do więzień, czytano ją w kołach partyzanckich. Książkę tę zawdzięczam, że mogłem przetrwać prawie sześćdziesiąt lat w obozach koncentracyjnych. Przez książkę tę nazwisko moje stało się znane niejednemu, który mi pomógł do przetrwania.

KOMUNIKAT

Dnia 25. III. br. odbyło się rozstrzygnięcie Konkursu Literackiego urządnego przez Zarząd Okręgowy Związku byłych Polskich Więźniów Politycznych w Łodzi.

Jure w osobach: Prez. Ajnenkiela, prof. Kamińskiej, prof. J. Sztudyngera, dr L. Świeżawskiej, p. Szmaglewskiej, p. Barłkowiak i prof. Salomego zakwalifikowało do nagrody następujące prace:

I nagroda — zł. 10.000 (ufundowana przez Zarząd Miejski m. Łodzi) — za pracę p. t. „Krzywdy” — p. Kołodziejczyk Henryka z Pabianic.

II nagroda — zł. 6.000 — za pracę pt. „Wspomnienia” p. Julia Temerson z Łodzi.

III nagroda zł. 4.000 — za pracę p. t. „Zeszytów śmierci” p. Klara Nicka z Piotrkowa.

Poza tym zostały wyróżnione prace: p. Kołodziejczyk „Chleb”; Kapuściński Stanisław „Pod wiaduktem”; Suszyńskiej Marii „Halte Mund”; Filusa B. „Dzieje jednego dnia”; Aurelii Janke „Gdańska 13”; J. Korajewo „Droga do wolności”.

Tadeusz Chróścielewski

Śmigus u Marysi

(Wyjątek z wiejskiego pamiętnika miejskiego inteligenta)

Chyżyny — 25.III. 1945 r.

KOBIETY były czymś zmieszane. Po szeptywały po kątach, jak mi tu dać pościel. Soldaty spały i może „trocha pchlów” natrzęsy. Zdmuchnięto lampę, właśnie tę, o której młody nauczyciel — klasyk Stefan Kozicki śpiewał na moich z Marysią żaręczynach:

„Sama lampa się paliła — ło, ło, ło!”

Bo w niej jeszcze nafta była — ło, ło, ło!”

Wprawił tym wtedy biesiadników w nieopisane zdumienie. Mimo mroku każde z nas odwróciło się do ściany; zaczęliśmy się śpiesznie rozbierać. Nagle podniósł się harmider, gdyż zginęły dwa wiadra i to napełnione wodą. Nie odezwałem się ani słowem, bowiem stały głęboko zasunięte u mnie pod łóżkiem. Tak się przygotowałem na jutrzejszy „lejek”. Jeszcze w Gnińsku ostrzegła mnie Marysia, gdyśmy się tu do Chyżyn na święta wybierali, że u nich, to się drugiego dnia polewają wodą, „nazywa się to... lej”. Żeby to miało również nazwę śmigus, tego moja Marysia nie wie. Ucieszyłem się. Zobaczę stary wiejski zwyczaj na właściwym terenie. Przy tym wszystkim jednak przypomniałem sobie jakieś przedwojenne słuchowisko o tym, jak to parobki oblewali dziewczuchę lodowatą wodą u studni. Coby to było, gdyby teraz dziewczuchom pod przewodem Marynki przyszła ochota zaciągnąć tak „prefesura” pod studnię. Stąd geneza owych dwóch wiaderek.

Prześcieradło przyjemnie szorstkie, a palce przed snem bawią się supkami frendzli z czarnej chusty, którą mnie dopiero okryła marysina mamusia. Maryśka śpi niespokojnie, ustami łapie powietrze: Zastanawiam się, czy kot może się zapłatać w lep zawieszony nad koniną. Coby z tego wynikało? Szurałby pewnie jak zdurniał po wszystkich kątach. Slepia naszego kota są z przodu patrząc — zielone, z boku zaś po prostu złoty, połyskujący paciur. Jakaś przerwa w nocnym polowaniu. Jest godzina pierwsza.

Nagle za oknami kroki, chrząkanie, jakby ustawianie się, delikatnie przypominają się skrzypce, wreszcie dość zgodny chóralny dyszykant:

„A czy śpicie, czy nie śpicie.

Czy nam śpiewać pozwolicie?...”

Zamieniam się w ucho: — ulubione powiedzenie mojej siostry.

„W Wielki Czwartek, Wielki Piątek,

Cierpiał Pan Jezus za nas osmówek,

Za nas to, za chrześcijany.

Pana Jezusa ukrzyżowali...

Anieli się dowiedzieli,

Po tę krewkę przylecieli,

Przylecieli, pobierali,

Złotymi rączniczkami...”

Chwila przerwy. Teraz się ciągnie niewesoła opowieść, jak to „w niedzielę po obiedzie szedł Pan Jezus po koleżdzie” spotkał „dziewczę ze dwora”, co to dzieci owe potraciła, a trupki ukryła:

„Gdzie jezioro, tam ich czworo,

Gdzie ciemny las, tam pięcioro”.

Dobry Pan Jezus każe dziewczęciu pójść do spowiedzi, a gdy się dziewczyna spowiadała, na trzy piędzi ziemia drżała. Nastąpiły teraz strofy dość natarczywie żądające honorarium.

Kurzakowa jak kamień. Gałęz oczu przylepionych do szyb, by ściemnione listki brzozy.

— Mamo, mamo, ma-mo! Dyngusi przyszli. Mania w stanie szczęścia, bo gotowi Wam co rzeknąć.

Dyngusi słysząc chochanie po izbie uderzyli w ton podniosły:

„Chwała Bogu Ojcu

Siedzi kurczę w kojcu,

Jajek nam naniecie,

Gospodyni wyniesie...”

BIBLIOTEKA
ODDZIAŁU WIEJSKIEGOZWIĄZKU ZAW. LITERATÓW POLSKICH
ŁÓDŹ, ANDRZEJA 12

- 1. Paweł Kubisz „PRZEDNÓWEK” poezje, drugie wydanie (92 stron druku) — cena 120 zł.
- 2. Józef Andrzej Frasik „URODZONY W ŻDŹBLE” poezje (160 stron druku) — Cena 180 zł.
- 3. Stanisław Piętaś „DOM RODZINNY” poezje wybrane (144 stron druku) — cena 230 zł.
- 4. Edward Marzec „WNUCZEK ORZE” debiut poetycki (40 stron druku) — cena 80 zł.

— Przepraszam Was, moje panowie, my tu śpiem i nic nie słyszem.

Krząją się z Marysią. Od granatowoburej nocy dziwnie odbijają jej białe ramiona. Podziękowania, życzenia dobrej nocy.

— I Franek Klamutów też był — mówi jakby z pewnym rozmarzeniem. W wojnę ich nie było.

Raniutko, gdy Kurzak wyszedł na podwórze i zaczął siepać rękoma, że aż w izbie było słychać, a gęsi szły gęsiego po kałuży opowiadając sobie dzieje słynnego zwycięstwa kapitolńskiego — pospacero-wałem z jednym z kubiów do łózka Marysi. Nawet nie krzyknęła. Zakutała się z powrotem po uszy w pierzynę i obróciła po-gardliwie do ściany.

Domyśliłem się, że uczyniłem coś niestosownego, lecz co? Włożyłem najgorsze spodnie i czekam na to „coś”, co teraz nastąpi.

— Wstań, Maryśka, dyć tylko patrzeć, jak „lejki” przyjdą — Kurzakowa dmucha w torf na palenisku, aż się rozlatuje po izbie. Wszedł Kurzak, w czerwono-czarnym krawacie i siny po świeżym gołeniu. Marysia nakrywa rącznikami stół: kiełbasa z czosnkiem, przyrumienione kostki słoniny, prawdziwa wódka (wtedy jeszcze rzadkość). Nikt nie myśli o oblewaniu.

Najsamprzód przyszył jednak małe „lejki” — ośmio i pięcioletnie. Ustawili się z walecznymi minami przy studni.

— Jasiu, gości do ciebie — prześmiewają się w izbie z najmłodszego Kurzaczka. Sprowokowany chłopiec stanął odważnie w drzwiach:

— Nie boje się, wis?

W tej chwili jednak już zamknął, ale strumień wody zdążył już przysnąć do izby i zlać mu koszulinę. Wyjrzelismy przez okno.

Napastnicy ustawieni w rzędzie o kilka kroków przed domem demonstrowali swe narzędzia, długie, drewniane pompki, z których woda strzela dość daleko.

— Nie boje się, wis? — przytworzył Jasiu już z poza drzwi. W izbie podrostkowy Staś klęcił się z Marysią, o jakieś perfumy, uparł się koniecznie iść z nimi do Wandzi. Wyrwywają sobie z pasją.

Marysia spojrzała na mnie i powiedziała dość niechętnie, żebym się przebrał. Powiedziałem, że wolę tak pozostać. Wzruszyła ramionami.

Około ósmej ktoś zakrzyknął, że „lejki” idą. Zrobiłem ruch jakbym chciał uciekać do bokówki.

— Tadek, proszę, zostań — szepnęła bar-dzo cicho, jednocześnie poczułem w palcach małą buteleczkę. Spojrzałem — „Soir de Paris”.

Lejków było czterech. Położyli na ławkę kapelusze. Z butonierek zwisają im pantofelki góralskie, laseczki i koniczynki. Patrzy na Marynkę z pewnym onieśmieniem. Poważne egzamina ma w mieście. Za prefesura się wybiera. Widzę, jak za ich plecami Kurzak śpiesznie zanurza w wiadrze buteleczkę po wodzie kwiatowej.

Czuje, że „to” już teraz, gdy podchodzą do mnie, prawda, że z poczciwymi minami. — Nie powiem, żeby to było przyjemne. Każdy sączy mi delikatnie na włosy żdzieb ko perfum.

— „Żeby się owiesek dobrze rozdził”.

Wskoczyłem już w rolę, pryskam zamaszycie „Wieczorem Paryskim” czyjaś błyszcząca czupryna.

— Żeby się Wam owiesek też dobrze rozdził.

I właściwie jest już po lejku. Jesteśmy weseli. Cereguelujemy się przy stole. Brzdęk... brzdęk... stukamy w kieliszki. Kurzak opowiada o Żydzie, co nie miał biletu w pociągu; potem jeszcze o czymś mówi. Młodzi są wyraźnie zażenowani. Podnosimy kieliszki. Opowiadam, że i u nas w mieście jest podobny zwyczaj, lecz my to nazywamy śmigusem i oblewamy się na całego, zwyczajną wodą, tak kubkami, wszyscy, nawet policjant w wiezycze na zbiegu Marszałkowskiej i Alej.

Jednocześnie przypomniałem sobie, jak właśnie w tym punkcie spotkałem latem, jeszcze za niemieckich czasów Marysię. Miała różową bluzkę, paciorki i była bardzo nieszcześliwa. Pierwszy raz sama w Warszawie.

— U nas też tak było kiedyś... ja ci mówię to tak zlałem, że... — odpowiada z namaszczeniem Kurzak. Policzki mu poróżniały.

Zbieramy się wszyscy: i ja i Marysia. Idziemy w siódemkę do sąsiadów, znowu na „lejki”.

REDAKCJA TYGODNIKA SPOŁECZNO - LITERACKIEGO „W I E Ś”

O G Ł A S Z A **KONKURS** NA ANKIETĘ:

„MOJA DROGA DO SZKOŁY ROLNICZEJ I ZE SZKOŁY ROLNICZEJ DO WSI”

NAGRODY: I-15.000 zł, dwie II po 10.000 zł, III-5.000 zł
oraz nagrody książkowe dla 50 autorów wyróżnionych odpowiedzi

Kto uczestniczy w konkursie?

Grupa pierwsza:

I. Udział w niej biorą wszyscy uczniowie najwyższych klas gimnazjów rolniczych, powiatowych szkół rolniczych oraz obu klas liceów rolniczych. Wypełnienie ankiety przez wszystkich uczniów wymienionych klas zostało w wyniku porozumienia z Redakcją „Wsi” zlecone Dyrekcjom Szkół Rolniczych przez Dyrektora Departamentu oświaty Rolniczej w Ministerstwie Rolnictwa i Ref. Roln. ob. Mieczysława Wysockiego.

Grupa druga:

II. Udział w niej biorą wszyscy zainteresowani Szkołami Rolniczymi. W szczególności cenne dla nas byłyby wypowiedzi starszego pokolenia, które pa-

mięta jeszcze pierwsze Szkoły Rolnicze w Galicji, w Wielkopolsce i „zaraniarskie” w Kongresówce. Obserwowało ono później szkolnictwo w latach międzywojennych i może porównać te dwa okresy.

III. Dla lepszego opracowania odpowiedzi na ankietę prosimy Panów Profesorów Szkół Rolniczych o zebranie odpowiedzi w 2-ch ratach. Pierwsza na punkt I i II; druga na p. III. Ich również lub samorząd klasowy prosimy o zbiorowe i łączne wysłanie odpowiedzi ze szkoły. Odpowiedzi mogą być krótkie lub dłuższe, nie powinny jednak pominać żadnego pytania.

IV. Nagród głównych jest cztery, przy czym dwie

pierwsze i czwartą zdobywają ci uczestnicy, których najciekawsze odpowiedzi dotyczyć będą p. III, i p. IV. Druga nagroda zastrzeżona jest dla najciekawszych odpowiedzi na p. I i II.

V. Wynik ankiety oraz nagrodzone i wyróżnione odpowiedzi zostaną ogłoszone na łamach tygodnika „Wieś”. Cały zaś materiał przekazany Instytutowi Socjologicznemu w Łodzi, znajdującemu się pod kierownictwem prof. J. Chalasińskiego.

VI. Termin nadsyłania odpowiedzi na ankietę upływa z dniem 15 maja 1947 r. Kierować odpowiedzi należy na adres: Redakcja Tygodnika Literacko-Społecznego „Wieś”, Łódź, ul. Piotrkowska 96.

ANKIETA

Nazwisko, imię, adres zamieszkania, data urodzenia.

I. Wieś rodzinna:

1) a) oddalenie od miast, b) drogi — komunikacja, c) gleba, d) przeciętny sposób gospodarowania na roli, odchylenia ku uwsteczaniu i postępowi (w czym, kto, dlaczego), e) instytucje gospodarcze, kulturalne (szkoły, jakiego rodzaju, świetlice, ośrodki zdrowia), ośrodki przemysłowe — w promieniu wsi, gminy?

2) a) grupy gospodarze i zawodowe w % (bezrolni, folwarczni, małorolni, średniacy, wielkorolni, rzemieślnicy, inteligencja miejscowa, przybła, jakich zawodów?), b) ich znaczenie społeczne na wsi? Która, kiedy i w czym największą gra rolę?

3) a) liczebność twojej rodziny? b) warunki materialne? (jaka grupa?), c) warunki kształcenia się (jakie przeszedłeś szkoły, zawody i prace?).

4) a) Jakie osoby (ojciec, nauczyciel, kolega starszy) wywarły na tobie silniejszy wpływ i jaki? b) jakie instytucje i organizacje (dom, szkoła powszechna, kościół, Koło młodzież., fabryka, spółdzielnia, partyzantka itd.) i w czym się on wyraża?

5) Jaka była ilość we wsi młodzieży mniej więcej rówieśnej? Jak było jej współzycie? (kawalerka, koła, świetlice, teatr ludowy, zabawy, czytania i dyskusje...). Jak ty i z kim współzycie? Jakie pamiętasz z tego okresu najsilniej wydarzenie? Jaka książka najbardziej cię poruszyła i dlaczego? Ilu kolegów i koleżanek uczyło się czy uczy powyżej szkoły powszechnej?

II. Okres okupacji:

1) Jak przeżyłeś te lata? a) w pracy

na gospodarce rodziców, w zawodzie, na miejscu? b) uczyłeś się — czego, gdzie, w jakich warunkach? c) byłeś wywieziony do Niemiec, aresztowany — czego się tam nauczyłeś, jakie są twoje wrażenia i wnioski? d) byłeś w partyzantce?

III. W szkole rolniczej:

1) a) dlaczego wstąpiłeś do gimnazjum rolniczego? (szkoły rolniczej), b) jaki przedmiot najbardziej cię interesuje? c) jaki rodzaj praktycznych ćwiczeń? d) jaka książka z zakresu rolnictwa najbardziej cię zaintrygowała? A jaka z innego zakresu? Jakie czytałeś piśmiernictwo?

2) a) czy absolwent gimnazjum lub liceum rolniczego winien wrócić na własne gospodarstwo czy pójść na pracę o szerszej doniosłości społecznej? b) jakie prace otwierają się dla was (na ośrodkach państw., resztówkach, gminnych, powiatowych agronomów, Izby Rolniczej, Zw. S. Ch., przemysł rolny, spółdzielnie), c) czy jesteście za gospodarką planową i rejonizacją? Jaka twoim zdaniem winien odegrać rolę absolwent w planowej gospodarce rolnej?

3) a) W oparciu o wiedzę jaką nabyłeś w gimnazjum rolniczym, jakie widzisz błędy na swojej wsi w uprawie rolnej (w jakich zakresach)? — jakich dziedzin nie ma (hodowle czego?, warzywnictwo, sadownictwo itd.)? b) w technice i rodzaju narzędzi czego brak? c) w organizacji pracy (specjalizacja, spółdzielnia sprzedaży wspólnej, przemysł przetwórczy).

4) a) jakie zmiany i nowe urządzenia wprowadziłybyś na swojej wsi? W jakim zakresie? b) czy dadzą się one przeprowadzić bez równoczesnych przemian i w innych wie-

skach? c) w jakim stopniu zależą one od czynników wyższego rzędu (w gminie np. Spółdz. Zw. S. Ch., ośrodek przemysłu przetwórczego, stacja maszynowa, w powiecie: Izba Rolnicza, Zarząd Zw. S. Ch., urzędy melioracji, drogowe, plan rejonizacji itd.), d) czy inne czynniki nie będą w tej akcji przemysłowo-rolniczej potrzebne — jakie i jak? (szkoły powszechne, świetlice, koła młodzieżowe, uniwersytety ludowe, czytelnictwo, inne zawody — inżynierowie, technicy, lekarze, działacze społeczni?)

5) Podaj konkretny, doraźny plan, możliwej do przeprowadzenia (w zakresie rolniczym) zmiany na twojej wsi, licząc się z obecnymi warunkami i siłami ludzkimi, jakie na niej się znajdują (z innych zawodów i przedsiębiorstw), a nie licząc jeszcze na zmiany w szerszych kręgach terenowych (gmina, powiat) i w wyższych ośrodkach dyspozycyjnych planu gospodarczego.

6) a) Z ludźmi jakich zawodów uważasz za potrzebne i konieczne pracować jako rolnik-społecznik? b) Jakże zatem rodzaje wiedzy winny być również przez młodzież wiejską zdobyte, aby podniosła się wydajność i opłacalność rolnictwa?

IV.

1) Jaką Szkołę Rolniczą znać z dawnych lat?

2) Czy byliście w Szkole Rolniczej — jaki był jej program wówczas?

3) Jakże wówczas były inne instytucje na wsi czy w okolicy? (dwór, plebania, gmina itd.). Jak oddziaływały na wieś? A jakich wtedy nie było?

4) Jaki był stosunek wsi i innych instytucji do ówczesnych Szkół Rolniczych?

5) Kto wykladał w Szkołach Rolniczych? Z kim się nauczyciele wiązali, bardziej z chłopami, czy z gminą, dworem, szkołą, plebanią?

6) Kto uczył się w Szkole Rolniczej? Bogatsi, czy biedniejsi synowie chłopscy? (Jaki stosunek procentowy?)

7) Jak wyglądała gospodarka rolno-handlowa, handel płodami, stopa życiowa na wsi w okresie powstawania Szkoły Rolniczej w okolicy?

8) Jaki był wpływ Szkół Rolniczych bezpośrednio na okolicę, jaki jej wychowanków?

9) Jakże nowe czynniki — zmiany polityczne, społeczne, nowe na wsi instytucje, większa ilość kształcącej się młodzieży wiejskiej, reemigracja itp. — wpływały na większe uznanie Szkół Rolniczych i podnoszenie gospodarki na wsi?

10) Jakże obserwowaliście na przestrzeni wielu lat zmiany w Szkołach Rolniczych, w umiejętnościach wychowanków, w sposobie produkcji rolnej chłopów? Jak się one zbiegały, dopełniały i uzależniały?

11) Jakbyście określili różnicę między dawnymi (pierwszymi) Szkołami Rolniczymi, a tymi z lat międzywojennych (ostatnich)? Co na to wpłynęło?

12) Jakże są Wasze z długoletnich obserwacji wnioski i propozycje w odniesieniu do Szkół Rolniczych i ich rozwoju?

Odpytywać należy bez powtarzania pytań, zamiast nich stawiając odpowiednią numerację np. II a itd.

Pierwsza grupa uczestników konkursu odpowiada na I, II i III punkt ankiety.

Druga grupa — zasadniczo tylko na IV punkt ankiety.

„S P O Ł E M”

Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P. w Warszawie
WYDZIAŁ ROLNICZY w Łodzi

dostarcza Spółdzielniom Rolniczym za pośrednictwem 16 Placówek okręgowych w ramach akcji

„Przemysł dla wsi”

oraz w obrotach wolnorynkowych:

żelazo

galanterię żelazną

odlewy żeliwne

maszyny i narzędzia rolnicze

rowery

nawozy sztuczne

materiały pędne i smary

materiały budowlane

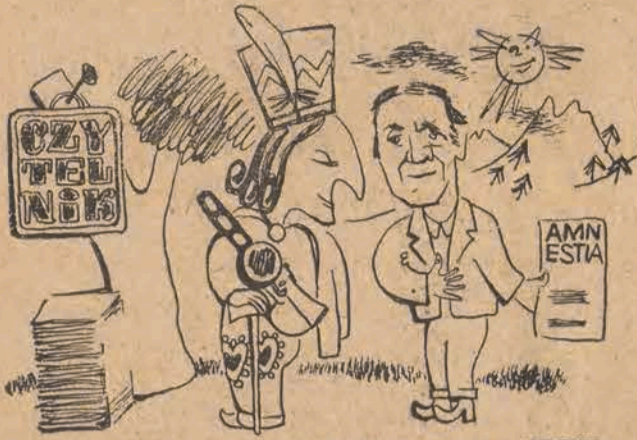
różne opakowania

środki ochrony roślin.

Wszelkich informacji w sprawie zakupów udzielają Okręgowe Oddziały Rolnicze w miastach wojewódzkich

PISARZE W CZASIE ŚWIĄT WIELKIEJ NOCY

„JANOSIK” ST. NĘDZY-KUBINCA
(od dwóch lat wydawany)



rys. St. Fijałkowski

NĘDZA KUBINIEC: Janosik, wiesz, amnestia jest. Ujawniliby się już wreszcie w społeczeństwie!

JANOSIK: Myślisz, że to tak łatwo? Przez półtora roku „Czytelnik” nie pozwolił mi się ujawnić w społeczeństwie, a teraz nie pozwala wasz Oddział Wiejski Z. Z. L. P.

BOHATEROWIE „OBERKA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO”
I. OZGI-MICHALSKIEGO



rys. St. Cieloch

Od redakcji: Józus! Jakiego ty w święta zatańczysz z nimi oberka?
WIELKANOC A. OLCHY W NAPRAWIE

„ŚWIĘCONE” JOZEFĄ POGANA



rys. A. H.

Zarządzam w imieniu Związku Samopomocy Chłopskiej, w imieniu Redakcji „Wieś” i Kardynała Sapichy, aby bogaci chłopcy przez całą Wielkanoc gościli wszystkich biedniejszych sąsiadów. A jak nie posłuchacie, to tak Was obmaluję w nowej powieści, że nawet stu tysięczny nakład wykupicie ze wstydu!

GDZIES POETO URODZONY?



rys. A. H.

J. Andrzej Frasik w rodzinnej wsi po siódmym kieliszku postanowił w nowym wydaniu swoich poezji zmienić tytuł. Brzmiał on bowiem: „Urodzony w żdźble”.

J. MORTON UWALNIA SIĘ OD „DOKTRYNY”



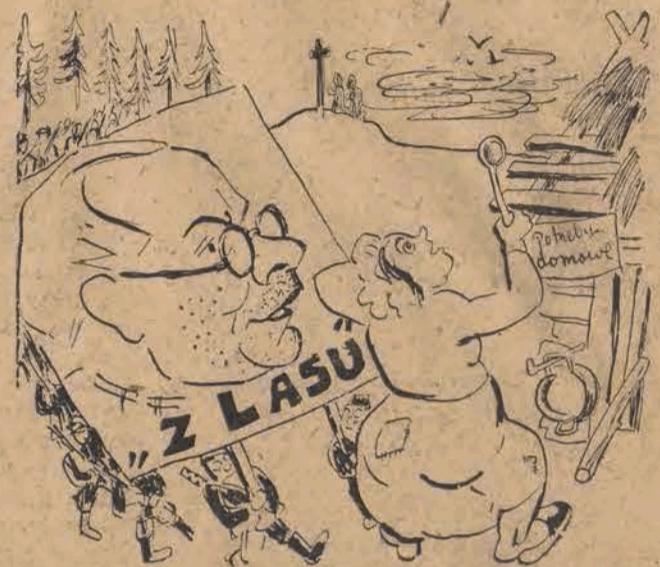
rys. A. Strumiłło

Dwa głosy krytyków — Pierwszy: Czernić księży można tylko pod wpływem „doktryny społecznej”.

Drugi: Powieść historyczna o wsi z końca w. XIX — a gdzie dwór?

Podobno Morton podczas Świąt poprawia „Inkluzowe wiąno”, zgodnie z zaleceniami krytyków. Ale czy go to uwolni od „doktryny społecznej?”

„TATA NIE WRACA”...

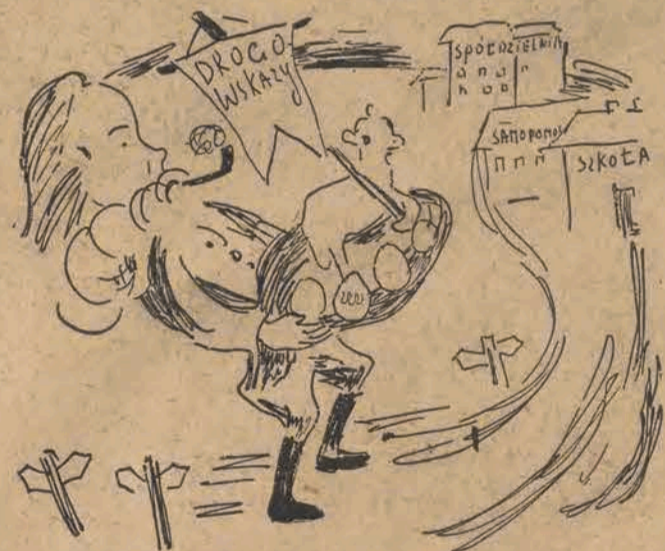


rys. A. H.

Zorientowani mówią, że chłopcy z lasu ujawnili się nie na skutek amnestii ale pod wpływem tomiku wierszy pt. „Z lasu” pułkownika partyzantki (z czasów okupacji) Stanisława Skonecznego. Sam jednak pułkownik, choć z lasu wyszedł przed dwoma laty w domu na dobre jeszcze nie osiadł. „Pójdźcie o dziańki, pójdźcie wszystkie razem!”

P. S. Od Redakcji — „Stasiu, gdzie spędzasz święta?”

„DROGOWSKAZY NA MANOWCACH KULTURY LUDOWEJ”



rys. A. H.

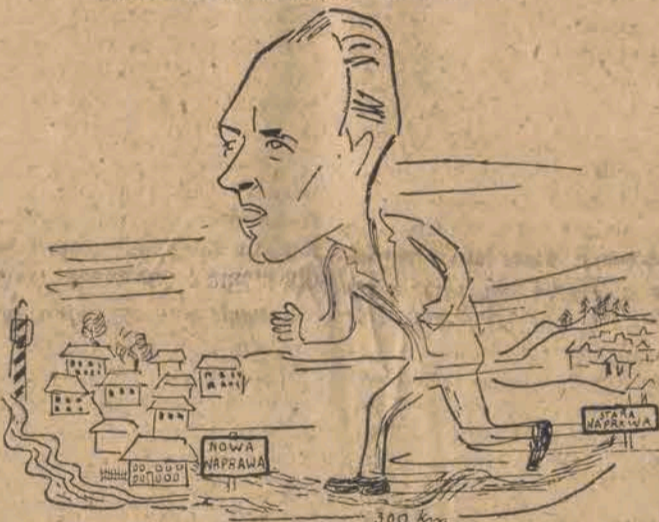
Ideologiczna Wielkanoc naczelnego redaktora „Wsi”.

PRYWATNA WIELKANOC J. A. KRÓLA



rys. A. H.

Ten jest chłopem, kto całe życie siedzi na wsi.



rys. A. H.

Zrobiłem za mało postępową reformę rolną. W przyszłe Święta Stara Naprawa musi być już tam, gdzie Nowa, któż to widział parcelować wieś na tak odległe kolonie. Zresztą na tym postępie zyskam nową książkę. Mam już tytuł: „Nowa naprawa starej naprawy”.

ST. PIĘTAK W WIELOWSI



rys. A. Strumiłło

„Gdy wracałem, wydała mi się jak ze snu”
(z „Poematu Barbarzyńskiego”)

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.
Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96 tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.
Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tygodn. „Wieś”, Łódź, Piotrkowska 96, I p., telefon 100-98.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Żwirki 2. D—015508